

Wybitni uczeni we wspomnieniach

Ryszard Gryglewski



Ryszard Gryglewski

Wybitni uczeni we wspomnieniach

Ryszard Gryglewski

POLSKA AKADEMIA NAUK

Redaktor merytoryczny:
prof. dr hab. n. med. Marek Krawczyk

Redaktor prowadząca:
Małgorzata Warowny

Koordynatorki produkcji:
Sylvia Węgrzyn
Karolina Trusz

Na okładce:
zdjęcie prof. Ryszarda J. Gryglewskiego pochodzi z archiwum Polskiej Akademii Nauk

Fotografie pochodzą ze zbiorów:
Ryszarda Witolda Gryglewskiego, Stefana Chłopiczkiego, Ryszarda Korbuta,
Rafała Niżankowskiego, Rafała Olszaneckiego.

Teksty zamieszczone w niniejszym tomie są wspomnieniami osób prywatnych.
Wydawca nie odpowiada za treść poglądów i opinii w nich zawartych.

Opracowanie graficzne i skład:
Andrzej Figatowski

Wydawca:
Biuro Upowszechniania Nauki i Wydawnictw PAN
© Copyright Polska Akademia Nauk
Warszawa, czerwiec 2025

ISBN: 978-83-68418-22-4



Druk i oprawa:
Agencja Wydawniczo-Poligraficzna GIMPO
ul. Transportowców 11, 02-858 Warszawa

Spis treści

Wstęp	7
Marek Krawczyk	
Ryszard and me	11
Randy Sprague	
Prostacyclin in Moscow	17
John Martin	
Mój Mistrz – wspomnienia wybrane	19
Ryszard Korbut	
Profesor Ryszard J. Gryglewski – pionier farmakologii śródbłónka naczyniowego	35
Stefan Chłopicki	
Pierwsze na świecie podanie prostacykliny i garść innych wspomnień o Gigancie nauki	49
Rafał Niżankowski	
Trzydzieści lat z Profesorem: Szefem, Mistrzem, Przyjacielem	61
Maria Chechlińska	
Jak pamiętam mojego mentora – profesora Ryszarda J. Gryglewskiego	85
Rafał Olszanecki	
Wspomnienie o Tacie	95
Ryszard W. Gryglewski	
Indeks nazwisk	113

Wstęp

Przygotowanie następnej, już siódmej publikacji z serii *Wybitni uczeni we wspomnieniach* to kolejne ogromne wyzwanie dla Wydziału i dla mnie osobiście, bowiem profesor Ryszard Jerzy Gryglewski to niezwykła postać. Swoimi badaniami naukowymi „otarł” się o Nagrodę Nobla. Przez wiele lat współpracował z sir Johnem Vane’em, który „za odkrycia dotyczące prostaglandyn i pokrewnych substancji biologicznie czynnych” otrzymał w 1982 roku Nagrodę Nobla. Natomiast badania profesora R.J. Gryglewskiego doprowadziły do odkrycia prostacykliny, która jest śródbłonkowym hormonem o działaniu naczyniorozszerzającym, a przez to powoduje obniżenie ciśnienia tętniczego krwi, a także hamuje agregację płytek krwi. Prostacyklina jest również wykorzystywana w leczeniu tętniczego nadciśnienia płucnego. Do wyników tych profesor Ryszard J. Gryglewski doszedł dzięki stworzeniu doskonałego zespołu naukowego, pracującego w Katedrze Farmakologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Uczeń i następca profesora Ryszarda J. Gryglewskiego – profesor Ryszard Korbut podkreślił istotę osiągnięć naukowych wielkiego uczonego. Otóż w 1978 roku w Krakowie po raz pierwszy w świecie doszło do spektakularnego przeniesienia wyników podstawowych badań nad działaniem prostacykliny z laboratorium do kliniki. Obecnie takie przenoszenie odkryć podstawowych nosi nazwę translacji badań podstawowych. Można więc śmiało powiedzieć, że, jak pisze prof. dr hab. Ryszard Korbut: „(...) Profesor był pionierem translacji

badania medycznych w Polsce już ponad pół wieku przed tym, jak słowo translacja stało się nadzwyczaj popularne”.

Warto podkreślić, że profesor Ryszard J. Gryglewski zdecydował się na wypróbowanie zastosowania odkrytej przez siebie prostacykliny na sobie, co wobec nie do końca rozpoznanego nie tyle działania, ile wyboru właściwej dawki nie doprowadziło do zagrożenia zdrowotnego u naukowca i jednocześnie eksperymentatora.

Inny uczeń profesora Ryszarda J. Gryglewskiego – prof. dr hab. Rafał Olszanecki wspomina, jak ten wybitny naukowiec zwracał uwagę na najważniejsze cechy kandydata na medyka. Otóż na pierwszym miejscu stawiał ciekawość i chęć zrozumienia, w jaki sposób działa organizm w zdrowiu i chorobie. Natomiast zadziwiającym było, że takie cechy, jak „chęć pomocy innym w nieszczęściu” czy „znalezienie panaceum na trapiące ludzkość choroby” wydawały się profesorowi Gryglewskiemu mniej ważne.

Profesor Ryszard J. Gryglewski w badaniach naukowych podkreślał, że najważniejsze są eksperymenty *in vivo*. Uczniowie przytaczają jego ulubione powiedzonko „*in vivo veritas!*”! Nie tolerował, gdy któryś z jego asystentów po nieudanych eksperymentach szybko się poddawał. Podkreślał wówczas, że „*nie święci garnki lepią...*”.

Wielką cechą profesora Gryglewskiego były także jego wspaniałe kontakty z nauką światową. Na organizowane przez niego sympozja przyjeżdżało wielu noblistów. Jak pisze prof. dr hab. Rafał Olszanecki: (...) *imponujące było to, że wielu z nich było po prostu przyjaciółmi lub bliskimi znajomymi profesora. Z czasem trwalsze współprace skutkowały wyjazdami pracowników katedry do „zaprzyjaźnionych” ośrodków. Miał również, jak wskazuje wspomniany profesor R. Olszanecki: (...) niespotykaną intuicję naukową (umiejętność wysu-
plania z masy danych tych, które niosą w sobie ważną informację), imponującą pracowitość i drive do eksperymentowania...*

Profesor Stefan Chłopicki z kolei wspomina tak profesora R.J. Gryglewskiego: (...) *żywo pamiętam wybitną osobowość naukową profesora Gryglewskiego. Był to uczoney wielkiego kalibru, o szerokich horyzontach myślenia w Nauce i zarazem humanista o szerokiej wiedzy.*

Uczniowie profesora Ryszarda J. Gryglewskiego zwracają uwagę na jeszcze jedną zaletę tego wybitnego naukowca. Otóż profesor Gryglewski zawsze poszukiwał szczególnie zdolnych, młodych ludzi, którzy chcieliby podzielać jego pasję poszukiwania nowych związków, które mogą stać się lekami i pomóc w walce z różnymi chorobami. Ze swej strony mogą powiedzieć, że to wspaśniała zaleta każdego nauczyciela akademickiego.

Przepiętnie opisuje swoje spojrzenie na profesora Ryszarda Jerzego Gryglewskiego jego sekretarka – Pani Maria Chechlińska. Zaczyna od tego, że nazywa go Szefem, Mistrzem, ale i Przyjacielem. To wielka rzecz, jeśli osoba kierująca ważną instytucją może być tak opisywana. Nie jest przecież łatwo zarządzać, a więc wymagać od pracowników i być jednocześnie ich przyjacielem. Pani Maria podkreśla rzadką wartość wielkich naukowców, jaką jest perfekcyjność. Tak było u profesora R.J. Gryglewskiego. A iluż to wybitnych naukowców i badaczy gubiło się lub gubi w dokładnościach swojej pracy i nie chodzi mi o badania naukowe, bo w tej sferze prawdziwy naukowiec musi być perfekcjonistą.

Kończąc pragnę podkreślić, że przygotowana monografia o profesorze Ryszardzie Jerzym Gryglewskim pokazuje w pełni, jak ten naukowiec zasługuje na zaliczenie go do wybitnych uczonych Wydziału V Nauk Medycznych Polskiej Akademii Nauk.

Prof. dr hab. n. med. Marek Krawczyk

Dziekan Wydziału V Nauk Medycznych Polskiej Akademii Nauk

Ryszard and me

It is a great pleasure for me to record my memories of Professor Ryszard Gryglewski for those who knew him and to those who did not have the chance to know one of the greatest scientists and human beings I have ever encountered.

My knowledge of Ryszard as a scientist began when I was a student in the laboratory of Professor Andrew J. Lonigro at Saint Louis University in St. Louis Missouri, far from Krakow. My mentor studied the role of prostaglandins in the renal circulation. I was very young and very new to science having just completed training in pulmonology. Dr. Lonigro suggested I read some review papers addressing the role of prostaglandins in the control of blood flow. He gave me a wonderful paper by someone named Ryszard Gryglewski. This was my introduction to what would become my life-long quest to understand the role of arachidonic acid metabolites, nitric oxide and red blood cells in the control of blood flow. I have never forgotten that paper.

In 1983 My mentor and I were invited to a scientific symposium in Poland. It was a true shock for a young man from the Midwest of the United States to visit a communist country, one that had just emerged from marshal law. I remember that the streets of Krakow seemed colorless and without life. I also remember that we were given a tour by a very kind and gentle man who was clearly proud of his Polish heritage and history. I was excited to learn that it was Professor Ryszard Gryglewski. I introduced myself and he was very kind to me and the other scientists in our group.

After I had gained experience in the laboratory, I was given the opportunity to work with Professor Sir John Vane at the William Harvey Institute in London, England as a visiting scientist. My family and I moved to London for a year. The first day that I was in Sir John's laboratory I was assigned an office. In the office was a large and very nice desk that was next to a window that overlooked a beautiful courtyard. There was also a small desk that was in the opposite dark corner. Neither desk was occupied so I took the big one with the view. Two days later, when I returned from the laboratory one afternoon, I found that someone else was using the office and had taken the other small and dark desk. The other person was not there, but I saw a letter on the little desk and I decided to see who this person was. The letter

was addressed to Professor Ryszard Gryglewski. I was amazed by the thought that I would be in the office with the man who helped introduce me to science. I looked at his desk and mine and I decided that things had to change. I moved all my things to the little corner desk and moved Ryszard's things to the big desk by the window. I then waited until he came in and introduced myself again. To my great delight, Professor Ryszard Gryglewski remembered me and was interested in my project. He was a very intuitive man and immediately made several wonderful suggestions that made my project much more focused and exciting. I loved him immediately. We often had lunch together and talked about science as well as life. Over the course of my time in London, Ryszard made several trips to the William Harvey to do research. We always had a wonderful time together and he met my wife and children.

Over the next three decades I was invited many times by Ryszard to present my work at symposia in Krakow and other beautiful places in Poland. On one occasion I spoke before a gathering of members of the Polish Academy of Science, something I will never forget. Speakers in these symposia were often asked to contribute a paper as well, and I always did so. Some of our best work is published in Polish scientific journals. I always wanted to do that to thank Professor Gryglewski but also because of the respect for Polish science that he had instilled in me.

We always had a magnificent dinner at the end of the symposia, often in a castle or a building of great historical importance. Ryszard always added a wonderful historical perspective. As I said before, he loved and was very proud of his country and it was obvious. On one occasion, I was at one of the formal dinners with my wife, Susie. We were seated with the Ryszard and his wife, Theresa. After dinner, there was dancing. I am not a good dancer and Theresa had injured her foot so we stayed at the table but Ryszard rose, bowed to my wife and invited her to the dance floor. It may be a little-known fact, but Professor Ryszard Gryglewski was a marvelous dancer. My wife was swept away. Theresa and I drank vodka together.

On another occasion, I spoke in Bydgoszcz. I was with my wife and we decided to take the train back to Warsaw although we had no real understanding of the Polish language.

We were very proud of ourselves and we showed Ryszard and Theresa what we had done. They laughed and told us we had actually purchased bus tickets to Krakow. They offered to drive us to Warsaw and we accepted. On the way, after several hours of driving, Ryszard was stopped for speeding. He was very upset but it got worse. I automatically reached for my passport when the officer approached the car. Unfortunately, my wife and I had both left our passports at the hotel desk in Bydgoszcz. Now Ryszard was really unhappy, but he smiled (I think it was a smile) and we went back for the passports. He was a good sport.

Ryszard was a great help to me in my scientific career. The symposia that he organized at the Jagiellonian University always included famous scientists from all over Europe and the United States. Almost always a Nobel laureate or two were present. The great beauty of these gatherings was not only to hear great science presented, but it was also to have the opportunity of young scientists to interact with great established scientists in a friendly and intellectually stimulating manner. That is the way Ryszard organized things. If it were not for these meetings, I would never have met great men like Professor Andrzej Szczeklik. Andrzej was one of the kindest and most humble men I have ever known. I still read passages from his book, “Catharsis” on occasion. It is a wonderful view of the art of medicine. These are the kinds of gifts and opportunities that the symposia that Ryszard organized provided for a younger scientist like me.

When I was at the William Harvey Institute on one occasion when Ryszard visited, I presented some new finding I had in the laboratory. I could not explain the mechanism responsible, but the findings were real and were potentially important. I was struggling to figure out the problem. Ryszard liked the results and made a wonderful suggestion. He said to me “Pin a summary of the data on the wall above your desk. One day it will come to you”. He was right, several weeks later I saw the answer. It started me on a path that consumed the last 25 years of my career. We finally got the answer. I always felt that Ryszard had started me down the right path.

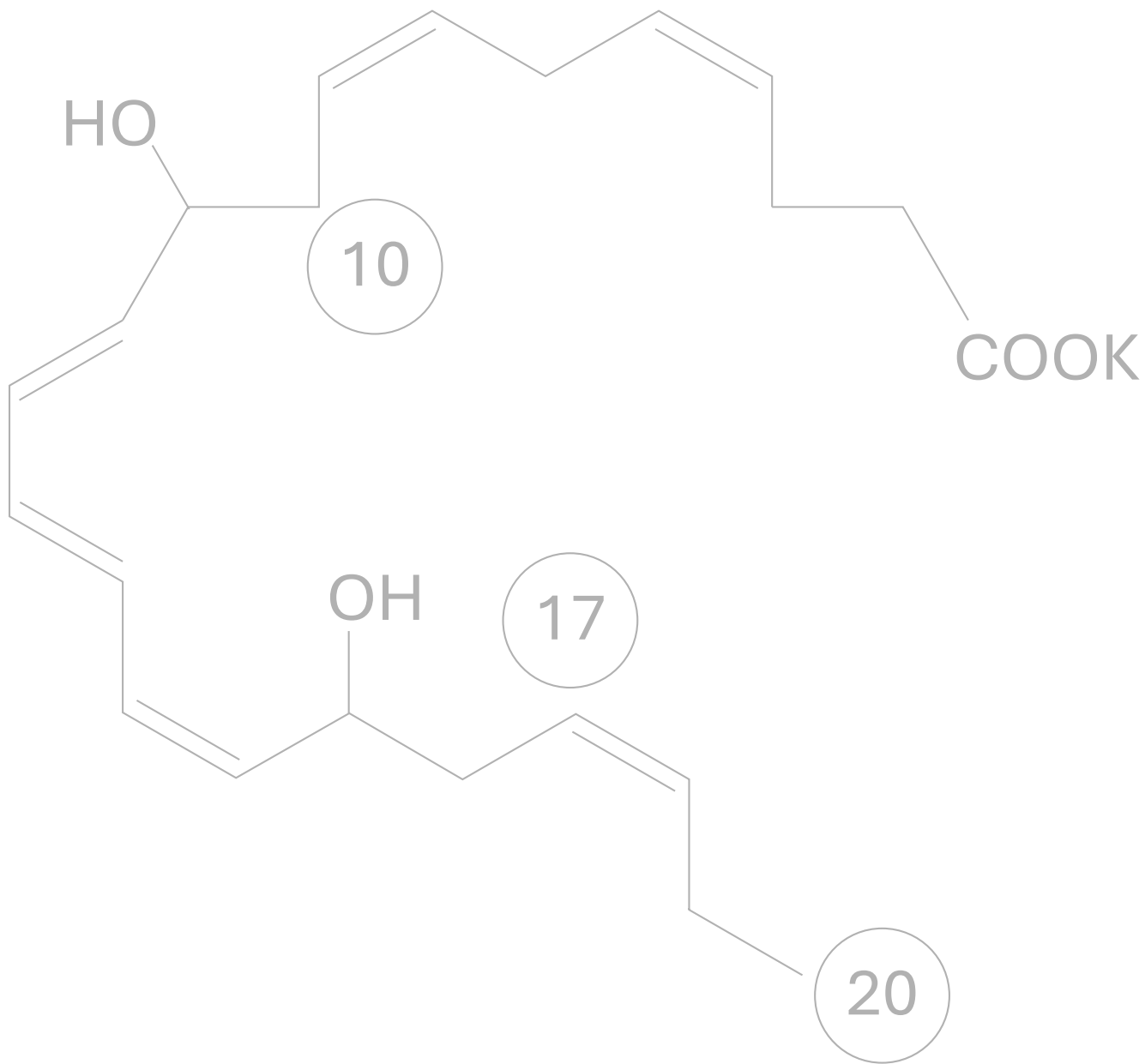
I often told Ryszard that every time I came to Krakow it was more beautiful. It is true. I still remember 1983. The city today is vibrant and full of color, wonderful food, laughing

people, beautiful churches and synagogues and a great University. Every time I returned to my favorite city in Europe, Krakow, it was more beautiful. I liked to say that to Ryszard, it always made him smile. I have now been to Krakow once since Ryszard's passing. It is still beautiful, but somehow it is not quite so bright and cheerful. It is missing a bright light and a great soul. Krakow and the Jagiellonian University and Poland as well as science are all diminished by the passing of Professor Ryszard Gryglewski.

I have always believed that in life we select our heroes. People we respect. People we aspire to be like. People we want to be around. People we admire. Ryszard was one of my heroes. I miss him very much.

Randy Sprague, MD

Professor of Physiology and Pharmacology and Internal Medicine
School of Medicine Saint Louis University USA



Prostacyclin in Moscow

John Martin *

Department of Medicine, University College London, 5 University Street, London WC1E 6JF, UK

Online publish-ahead-of-print 4 December 2023

Keywords Prostacyclin • Moscow • Krakow

Your obituary for the vascular pharmacologist Ryszard Greglewski evoked memories of how I first met him. He had worked in the Wellcome Foundation Research Laboratories near London at the invitation of the Nobel Prize winner Sir John Vane. Deep in the cold war, he had managed to be granted a sabbatical by the Polish authorities to work with John Vane. During that time, he was involved in the discovery of prostacyclin which in part led to John Vane's Nobel prize. Ryszard then returned to the medical school in Krakow.

I was going to attend the World Heart Federation Congress in Moscow in August 1981, when Brezhnev was in charge of the Soviet Union. John Vane approached me, asking whether I would take a sample of the first manufactured prostacyclin with me to Moscow. He had not been able to contact Ryszard and sending it to Poland at that time was not possible. John Vane explained that if I could do that, it would allow Ryszard to initiate research on prostacyclin in Krakow. I said yes, having been told that Ryszard would surely be at the congress. I was told that all the communist block scientists would be staying at designated hotels.

At that time, I was in the British army reserve, so I had to inform the army that I was visiting a Warsaw Pact country. I was visited by a sergeant from the army's security branch to be briefed. I was told that every woman I met in Moscow would be in the KGB. As the sergeant left, he said 'and I must remind you, Sir, that it is an offence against military discipline to have sexual intercourse in the Soviet Union'. I thanked the sergeant for his comment.

So, I entered the Soviet Union with a vial of white powder, prostacyclin, in my shirt pocket. The search for Ryszard involved visiting several hotels in Moscow and asking the girls at the reception (KGB) whether Polish professors were staying there. Eventually, I found the right hotel, and after negotiation, I was told the number of Ryszard's room. I knocked on the door, which was opened by a big man with a strong jaw. 'Professor Greglewski?' I asked. After a pause: 'Yes'. 'I have brought something for you from John Vane' I said. Later, Ryszard told me that his first thought was 'The KGB are speaking very good English now'.

With great reluctance, he invited me into his room and we sat at a table. I produced the vial of prostacyclin from my shirt pocket but he wouldn't take it, so I put it on the table. He produced vodka for both of us, and we spoke first about science, then our histories. It emerged that we both had a Catholic background. He suddenly said to me 'Introibo ad altare dei'. I replied 'Ad deum qui laetificat iuventutem meum'. He sprung to his feet saying 'No KGB man would know the opening of the Latin mass!'. The bottle of vodka was replaced by a bottle of whisky, and we spent a couple of hours talking. He invited me to come to Krakow in December to give a lecture. We arranged a date.

I left radiant with comradeship towards Polish academia. I was late for a party at the British Embassy to which I hastened by taxi. On arriving at the magnificent building near the Kremlin, I discovered that I had left my passport in my hotel. The embassy was ringed by security forces to stop access. I identified the officer in charge, approached in confidence, and in the absence of a passport, produced my Nation Westminster Bank credit card with a flourish. The officer saluted and opened a way into the Embassy. I had discovered that the Soviet Union had weak points.

I had arranged to visit Krakow in December. My secretary came into my office saying, 'Marshal Law has just been declared in Poland'. I asked her to phone Professor Greglewski's office; she returned saying, that there was no telephone communication with Poland and British Airways said that flights were suspended except for a last one the following morning: 'I have to get on that flight as I have to give my talk'. After arriving in Warsaw on the last flight from London, I flew to Krakow on a plane with soldiers carrying batons standing in the aisle. One had to be accompanied to the toilet by a soldier and leave the door open. I arrived in Krakow airport and asked where I could make a phone call. 'There are no phones' I was told. 'So, where can I get a taxi?'. 'There are no taxis'. I started walking towards Krakow. After a while, I saw a car which was a small fiat. I waved and he stopped. I showed him Ryszard's address. He was reticent but said he would take me to the main square. There I stood in the square, deserted except for a line of tanks. I went up to the first tank and held up a piece of paper with Greglewski's address, asking for directions. After much hesitation, a soldier came down from the tank and took me to a road off the square where there was a taxi parked. The driver was reticent to take me, probably because I had arrived with a soldier, until I produced a £5 note.

For the second time, I found myself, unexpectedly knocking on Ryszard's door. His surprise was greater than in Moscow. I was treated with great hospitality. Later, I learned that Ryszard's wife had gone out to barter for a pork chop for my dinner, such were the shortages.

Marshal Law forbade the gathering of more than three people. At my lecture, there were about 300 cheering staff and students of the medical school, breaking the law in solidarity. The generosity of Polish academia engulfed me. There was no petrol but a collection was made of half litres producing sufficient fuel so I could go to Zakopane to see the Tatra mountains. Special travel documents had to be organized. I was the only visitor.

Thus, I started my love affair with Krakow and lifelong friendship with Ryszard and Andrew Szczekliki, Professor of Medicine, who later spent a year's sabbatical with me. Who knows where a vial of prostacyclin will take you?

Conflict of interest: none declared.

* Corresponding author. Tel: +44 776 768 6326, E-mail: john.martin@ucl.ac.uk

© The Author(s) 2023. Published by Oxford University Press on behalf of the European Society of Cardiology. All rights reserved. For permissions, please e-mail: journals.permissions@oup.com

Przedruk artykułu za zgodą autora i redakcji. Artykuł poświęcony pamięci prof. Grylewskiego pierwotnie ukazał się w: John Martin, Prostacyclin in Moscow, Cardiovascular Research, Volume 120, Issue 1, January 2024, Page e1, <https://doi.org/10.1093/cvr/cvad160>.



10



COOK



OH



17



20

Mój Mistrz
– wspomnienia wybrane

Rok 1965, zbliża się czas matury, czas na podjęcie przez mnie życiowej decyzji, co robić dalej. Kuszą mnie dwa kierunki – medycyna i chemia. W tym samym roku trzydziestotrzyletni wówczas docent etatowy Ryszard Jerzy Gryglewski zostaje przeniesiony z Zakładu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie do Zakładu Farmakologii Akademii Medycznej w Krakowie, aby na następnych niemal czterdzieści lat pozostać kierownikiem Katedry i Zakładu Farmakologii Wydziału Lekarskiego. Oba Zakłady Farmakologii, tzn. Polskiej Akademii Nauk i Akademii Medycznej, mieściły się wówczas w tym samym miejscu – na trzech piętrach lewego skrzydła historycznego budynku Collegium Medicum w Krakowie przy ul. Grzegórzeckiej 16. Rok wcześniej, w 1964 roku, nagle umiera dotychczasowy kierownik obu Zakładów – profesor Janusz Supniewski, człowiek wyjątkowego charakteru i nieprzeciętnej wiedzy, doświadczony badacz, lekarz, chemik, farmakolog, ofiara hitlerowskich prześladowań profesorskiej elity Uniwersytetu Jagiellońskiego, były więzień KL Sachsenhausen. Z dnia na dzień bez lidera pozostaje kilkunastoosobowy zespół naukowców. W tym gronie niemal cała przyszła awangarda farmakologów, którzy w ciągu najbliższych lat zapełnią dostojne profesorskie fotele niemal wszystkich uczelni medycznych i instytutów badawczych w Polsce. Katedrę Farmakologii Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Krakowie obejmuje we władanie docent Gryglewski. Część kadry wkrótce ma przeprowadzić się do budynków we wspaniałym peryferyjnym parku przy ul. Smętnej w Bronowicach-Krakowie, gdzie zostaje utworzony Instytut Farmakologii Polskiej Akademii Nauk.

Rzecz jasna o istnieniu Katedry Farmakologii i jej poprzednim oraz nowo mianowanym kierowniku – docencie Gryglewskim pewnie nigdy bym się nie dowiedział, gdyby nie mój ojciec, lekarz, który znał „Gryglą” osobiście ze studiów w Krakowie. Ojciec był święcie przekonany, że jeśli mam dylemat, co pokochać: chemię czy medycynę, to na pewno niegłupio będzie zwrócić się z tym do docenta Gryglewskiego, bo on jest farmakologiem, a na dodatek wybitnym i nietuzinkowym człowiekiem. Zdaniem ojca farmakologia to jest genialny aglomerat medycyny z chemią.

Tak się też stało. Poszedłem umówiony do docenta na ul. Grzegórzecką 16, aby zapytać, co o tym wszystkim myśli. Powitał mnie w swoim niewielkim pokoju około trzydziestoletni wysoki, postawny blondyn. W opinii siedemnastolatka docent na pewno nie podpadał pod kryteria osoby młodej. Ponadto była w nim jakaś dysharmonia pomiędzy tym, jak wyglądał, a jak ja wyobrażałem sobie naukowca. Nie nosił okularów i nie sprawiał wrażenia roztargnionego. W zamian ciepło się uśmiechał, budził szacunek i ze zrozumieniem odnosił się do moich młodzieńczych rozterek. Dowiedziałem się, że on również oprócz medycyny polubił chemię, bo akurat jej znajomość okazała się przydatna w badaniach, które prowadził. Nieoczekiwanie zaproponował, że najlepiej będzie, jeśli zdecyduję się popracować na Farmakologii jako wolontariusz przez kilka miesięcy. Poznam wtedy i laboratoria chemiczne, i laboratoria biologiczne. Bardzo mi się to spodobało i skrzętnie z tej propozycji skorzystałem.

W tym momencie właśnie, jeszcze nie zdając sobie z tego sprawy, związałem całe swoje przyszłe zawodowe życie z zawodowym życiem profesora Ryszarda J. Gryglewskiego. Związek ten trwał aż do przejścia Profesora na emeryturę w roku 2003, kiedy to, jako świeżo upieczony profesor zwyczajny, w drodze konkursu na następnych 15 lat objąłem po nim kierownictwo Katedry Farmakologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Trzeba wiedzieć, że Akademia Medyczna w Krakowie od roku 1965 zmieniała nazwę dwukrotnie, najpierw na Akademię Medyczną im. Mikołaja Kopernika, potem na Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Katedra Farmakologii też przez jakiś czas, na radziecką modłę, nazywała się Instytutem Farmakologii. Z tego samego powodu profesor Gryglewski nie posiadał był w roku 1958 stopnia doktora nauk medycznych, ale stopień kandydata nauk medycznych. Doktorat uzyskał w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu w trzy lata po otrzymaniu dyplomu lekarza w Krakowie. Nie były to czasy, kiedy doktoraty w dyscyplinach doświadczalnych robiło się szybko. Szybko zdarzało się to wtedy tylko tym o ponadprzeciętnej wiedzy oraz niebywałej determinacji i ogromnemu zaangażowaniu.

Kilka miesięcy wolontaryjnej pracy w Katedrze sprawiło, że bardzo się zżyłem ze wszystkimi pracownikami. Codziennie korytarze i laboratoria przemierzali w pośpiechu, ze stoperem w ręku, młodzi, fantastyczni ludzie, później w większości znani jako profesorowie farmakolodzy: magister Jerzy Vetulani, lekarz Jacek Spławiński, doktor Stanisław Misztal, doktor Joanna Krupińska, docent Apoloniusz Dłużniewski, magister Basia Dyrek (później profesor, po mężu Przewłocka), nie wspominając o budzącym respekt profesorze Józefie Hano, pierwszym dyrektorsze Instytutu PAN, po profesorze Supniewskim, czy o zawsze zabieganym, z marsową miną docencie Gryglewskim. W tym czasie, a była to strategia zmarłego niedawno profesora Supniewskiego, osiągnięcia naukowe w Katedrze były mierzone przede wszystkim umiejętnościami tworzenia nowych substancji chemicznych o interesujących, oryginalnych właściwościach farmakologicznych.

Pracownie chemiczne były dwie i dwoje było liderów chemików. W jednej pracowni doktor Stanisław Misztal – urzekający, zawsze z papierosem i kawą w ręku, skory do opowiadania anegdot, a w drugiej doktor Teresa Gryglewska, żona docenta Gryglewskiego wraz z jeszcze jedną chemiczką – uroczą i emanującą spokojem magister Joasią Michalską. Pani Teresa była wówczas w widocznej ciąży, wkrótce miał się urodzić syn Ryszard junior. Jak się później okazało jedyny ich potomek, obecnie profesor historii, kierownik Katedry Historii Medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum (UJCM).

Ze swoją niezaspokojoną żądzą poznania chemicznej wiedzy wylądowałem w strefie wpływów pani doktor Teresy. Docent Gryglewski, którego od tej chwili (z niewielkim wyprzedzeniem chronologii faktów) pozwolę sobie nazywać Profesorem, bywał w laboratorium pani doktor Teresy kilka razy dziennie, głównie, jak mi się wydawało, aby poprosić o zrobienie kawy, herbaty lub o coś do zjedzenia. Przy okazji, kiedy mnie tylko dojrzał, np. przy myciu szkła, prawie zawsze rzucał pytanie, jakby od niechcienia: „co tam?” Po moich wyjaśnieniach, ile pożytecznego zdołałem się już nauczyć, mówił: „dobrze, dobrze”.

Podpatrując chemików bardzo szybko przekonałem się, że synteza chemiczna nowych związków do badań farmakologicznych była w Katedrze wyjątkowo ważna. Teraz myślę, że był to jednak jej ostatni czas na Grzegórzeckiej. Synteza chemiczna wkrótce stała się

bardziej domeną wielkich koncernów farmaceutycznych niż małych laboratoriów akademickich. Dla farmakologii nadchodziła era badania własności leków w testach *in vivo*, w izolowanych narządach oraz *in vitro*, przy użyciu najnowocześniejszych instrumentów badawczych. Profesor przy każdej nadarzającej się okazji powtarzał, że jak by na te sprawy nie spojrzeć, to naukowe prawdy są tylko *in vivo*. Słowami: „*in vivo veritas*” przy każdej nadarzającej się okazji zabawnie trawestował słynną łacińską frazę „*in vino veritas*”.

Po kilku tygodniach pomagania chemikom, głównie przy montażu zestawów destylacyjnych, przy krystalizacji, oznaczaniu punktu topnienia i w myciu szkła, Profesor zapytał mnie, czy chciałbym przyjrzeć się pracy zespołów eksperymentujących na zwierzętach. Byłem zachwycony. Wkrótce pod baczny okiem samego Profesora byłem w stanie samodzielnie prowadzić niektóre czynności eksperymentalne z użyciem izolowanej macicy szczura. Natychmiast zrozumiałem, że biologię przedkładam nad chemię. Niemal codziennie Profesor omawiał ze mną każdy eksperyment i oglądał otrzymane wyniki. Było super, pomaganie Profesorowi nie trwało jednak zbyt długo, zbliżała się bowiem moja matura i pora rekrutacji na studia. Złożyłem dokumenty na Akademię Medyczną, a Profesorowi z wdzięcznością podziękowałem za pomoc w przełomowym dla mnie okresie życia. Niebawem rozpocząłem studia.

Podczas studiów dochodziły do mnie sygnały o wielkich zmianach w Katedrze, o ostatecznych przenosinach Polskiej Akademii Nauk do nowej siedziby, o szczęśliwych narodzinach Rysia juniora, o przyjęciu nowych pracowników naukowych oraz o niezwykłych naukowych i organizacyjnych sukcesach Profesora. W roku 1969 Profesor napisał bardzo dobry skrypt do nauki farmakologii dla studentów medycyny. Wiem, co mówię, bo osobiście musiałem go w pocie czoła zgłębić i docenić. Wśród studentów na roku trzecim panowało powszechne przekonanie, że oprócz skryptu należy koniecznie uczęszczać na wykłady Profesora, gdyż są one niezrównane. Również o tym przekonałem się *in persona*. Wykłady były rzeczywiście wspaniałe. Sala wykładowa zapełniana była przez studentów do kresu jej kubatury. Podobnie było, kiedy już po studiach na stałe związałem się z Katedrą, najpierw jako asystent, potem adiunkt, docent, a w końcu profesor.

Na wykłady Ryszarda J. Gryglewskiego przychodziły tłumy. Obok studentów w ławach zasiadali młodzi pracownicy nauki i to nie tylko z Katedry Farmakologii. Czemu Profesor to zawdzięczał? Myślę teraz, że przede wszystkim wiedzy, ale i ogromnej pracy, jaką wkładał w przygotowanie plansz, przeźroczy, a później także filmów i komputerowych animacji. Potrafił zręcznie wprowadzać do wykładu elementy aktorskie: modulowanie głosem, ruch sceniczny, a nawet stand-up, jak powiedzielibyśmy współcześnie o tej formie aktorstwa. Równie doskonale były jego prezentacje sympozjalne. Nie lekceważył nawet naukowych zebrań w Katedrze. Potrafił upraszczać i popularyzować najtrudniejsze zawiłości mechanizmów działania leków. Jako wykładowca był perfekcyjny. Dydaktyczne pasje Profesora kontynuowaliśmy w Katedrze z sukcesem także po jego odejściu w stan spoczynku i wydaliśmy aż osiem skryptów oraz nakładem Wydawnictwa Lekarskiego PZWL kilka kolejnych edycji dużego podręcznika *Farmakologia*, docenianego przez studentów kierunków medycznych i uhonorowanego Nagrodą Ministra Zdrowia RP w roku 2014.

Przywracając chronologię, w ferworze studenckiego życia obchodziłem się całkiem dobrze bez farmakologii. Nadszedł jednak czas na dyplom. Kiedy go uzyskałem, znowu powędrowałem do Profesora na ul. Grzegorzecą 16. Zamierzałem poprosić o przyjęcie mnie do pracy na stanowisku asystenta. Okazało się jednak, że będzie to możliwe dopiero od następnego roku. Ogromnie byłem wdzięczny, że Profesor doskonale pamiętał moje młodzieńcze farmakologiczne wyczyny sprzed lat. Nie był ani trochę zdziwiony, że ten krótki wolontariat odcisnął na mnie duże piętno w rozbudzaniu zainteresowań naukowych. Znowu stało się tak, jak zaproponował. Za rok zostałem przyjęty do Katedry na asystenturę, jak wtedy nazywało się ten wstępny okres w karierze akademickiej.

Profesor od pewnego już czasu prace badawcze swojego zespołu w Katedrze stopniowo zaczął koncentrować wokół różnych aspektów farmakologii układu krążenia. Do warsztatu naukowego Katedry zostały wdrożone nowatorskie metody biologicznego oznaczania substancji czynnych oraz wiele ich oryginalnych modyfikacji.

W latach siedemdziesiątych XX wieku Profesor rozpoczął niezwykle owocną znajomość z doktorem Johnem Vane'em z Londynu, znanym później jako sir John Vane (1927–2004),



W grupie stojących mężczyzn: profesor Ryszard J. Gryglewski (pierwszy od lewej) oraz sir John Vane (czwarty od lewej)
w Royal College of Surgeons of England na początku lat siedemdziesiątych XX wieku

laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny w roku 1982. John Vane współpracował z Profesorem i z zespołem naukowym Katedry Farmakologii w Krakowie w bardzo wielu obszarach badawczych w sumie przez kilkadziesiąt lat, praktycznie aż do swojej śmierci w roku 2004 (zmarł niespodziewanie w wieku 77 lat na zapalenie płuc po złamaniu biodra). Powstało w tym okresie wiele niezwykle ważnych osiągnięć naukowych, które zostały opublikowane w renomowanych naukowych czasopismach, w tym kilkakrotnie w prestiżowym „Nature” (London). Należałoby wspomnieć, że polskim naukowcom w tym siermiężnym i szczęśliwie minionym okresie historii publikowanie badań w „Nature” raczej się nie zdarzało.

W roku 1976 w zespole kierowanym przez Johna Vane’a w Wellcome Research Laboratories w Beckenham pod Londynem doszło do przełomowego wydarzenia. Podczas badania różnych fizjologicznych funkcji ścian naczyń krwionośnych w powiązaniu z działaniem przeciwplatekcyjnym nastąpiło wiekopomne odkrycie nowego, nieznanego dotąd, śródbłonkowego hormonu o działaniu naczyniorozszerzającym i przeciwplatekcyjnym. Początkowo zostaje on nazwany prostaglandyną X, a następnie prostacykliną. Było to odkrycie wielkiej wagi, a warto je wspomnieć także dlatego, że w Beckenham osobiście uczestniczył w nim Profesor jako współodkrywca.

W tym czasie farmakologiczne możliwości regulacji syntezy eikozanoidów, włączając w to i samą prostacyklinę, badano z dużym powodzeniem także w Krakowie.

W 1978 roku w Krakowie po raz pierwszy w świecie doszło do spektakularnego przeniesienia wyników podstawowych badań nad działaniem prostacykliny z laboratorium do kliniki. Takie implantowanie odkryć podstawowych dopiero współcześnie znalazło modną nazwę translacji badań podstawowych. Można więc śmiało stwierdzić, że Profesor był pionierem translacji badań medycznych w Polsce już ponad pół wieku przed tym, jak słowo „translacja” stało się nadzwyczaj popularne. To właśnie w Krakowie prostacyklinę po raz pierwszy na świecie podano na próbę człowiekowi w formie infuzji. Zdecydował się zrobić tę infuzję sobie samemu profesor Gryglewski, korzystając z zaplecza i opieki

medycznej Kliniki Chorób Wewnętrznych i Alergologii AM, kierowanej przez profesora Andrzeja Szczeklika (1938–2012). Ta medyczna opieka okazała się bardzo potrzebna, gdyż Profesor w czasie infuzji doznał zapaści krążeniowej. Wykorzystując doświadczenia zdobyte w eksperymentach na zwierzętach, zastosowano u Profesora zbyt wysoką dawkę prostacykliny. Szczęśliwie wszystko skończyło się na strachu i słusznych konstatacjach o nierozwadze.

Dokładnie wtedy, gdy to wydarzenie miało miejsce w Krakowie, ja przebywałem gościnnie przez rok w Wellcome Research Laboratories w Beckenham, zaproszony tam przez sir Johna Vane'a. Pamiętam doskonale, że podanie Profesorowi prostacykliny, której działanie poznane było zaledwie na bardzo wstępnym etapie, biorąc nawet pod uwagę, że uczyniono to z własnej inicjatywy profesora Gryglewskiego, nie spotkało się ze zrozumieniem sir Johna. Nie ujawnię, co wtedy dokładnie sir John powiedział do mnie o medycznym eksperymencie Profesora, ale nie było to miłe. To, co chciał wyrazić najlepiej oddaje słowo „nierozwaga”. To wydarzenie nigdy w żadnym stopniu nie wpłynęło na relacje pomiędzy sir Johnem i Profesorem. Powiedziałbym nawet, że po otrzymaniu przez Vane'a Nagrody Nobla w roku 1982 (trzeba przypomnieć, że Nobla nie przyznano Vane'owi za odkrycie prostacykliny, ale za odkrycia dotyczące prostaglandyn i pokrewnych substancji biologicznie czynnych, w tym za odkrycie mechanizmu działania aspiryny) przyjacielskie więzy i realizacja wspólnych naukowych przedsięwzięć jeszcze mocniej między nimi się zacieśniły.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku John Vane zaproponował Profesorowi atrakcyjną pozycję wicedyrektora Instytutu Wiliama Harveya w St. Bartholomew's Hospital Medical School w Londynie, którego Vane był założycielem, sterem, żeglarzem i okrętem. Finansowe wsparcie dla badań prowadzonych w Harvey Institute z doskonałym skutkiem zdobywał dzięki swojej pozycji noblisty i dopiero co uzyskanemu tytułowi szlacheckiemu. Propozycja była dla Profesora bardzo atrakcyjna i w dużym stopniu wydawała się też spełniać jego ambicje. Chciał wyjechać na kilka lat, oczywiście z rodziną, ale nie chciał też stracić pozycji kierownika Katedry w Krakowie. W tym jednak względzie decyzja władz uczelni nie pozostawiała



Grupa polskich naukowców w gabinecie Rektora Collegium Medicum UJ podczas jednego z sympozjów organizowanych w Krakowie dla uczczenia Nagrody Nobla dla sir Johna Vane'a. Od lewej: Ryszard Korbut, Jerzy Vetulani, Andrzej Danysz, Tadeusz Chruściel, Maria Chruściel, Stefan Angielski, sir John Vane, Krystyna Herbaczyńska-Cedro (obecnie Krystyna Cedro-Ceremużyńska), Ryszard J. Gryglewski, Stanisław Konturek (Rektor UJCM), Andrzej Szczeklik

żadnych wątpliwości. Albo Katedra, albo kilkuletni wyjazd do Londynu. Wobec takiej alternatywy Profesor zdecydował się nie opuszczać w przyszłości Katedry na okresy dłuższe niż miesiąc lub dwa. Taki właśnie był. Najbardziej kochał być u siebie.

Pragnę podkreślić, że jeśli chodzi o moją osobistą współpracę z sir Johnem, nota bene za każdym razem bardzo owocną, bo finalizowaną ważnymi wspólnymi publikacjami, to zarówno w roku 1978, jak i wiele razy później sukcesy zawdzięczałem w znacznej mierze swoim ówczesnym oryginalnym pomysłom badawczym. Nigdy nie miałem jednak wątpliwości, że główną rolę w zainicjowaniu mojej relacji z sir Johnem odegrała rekomendacja Profesora.

Podczas mojego ostatniego wyjazdu na zaproszenie sir Johna, a było to tym razem w Instytucie Williama Harveya w samym sercu londyńskiego City, zdarzyła się rzecz, która mnie kompletnie zszokowała. Wspominam to wydarzenie, bo ono doskonale charakteryzuje nietuzinkową osobowość profesora Gryglewskiego. Pewnego dnia sir John zapytał mnie, czy wiem, że Profesor zamierza kandydować na urząd Prezydenta Miasta Krakowa. Rzecz niewyobrażalna, Profesor nienawidził polityki w tym samym stopniu co sprawujących władzę. Nienawiść szczególnie odnosiła się do władzy będącej u steru w słusznym minionym okresie historii. Co się więc stało? Otóż mocno powiało w Polsce wiatrem Solidarności, a Profesor nie przypadkiem poczuł obowiązek znalezienia się w pierwszym szeregu zwolenników budowy nowego porządku. Na pytanie sir Johna odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem, sprawa musi być chyba świeża, bo nikt do tej pory ze mną o tym nie rozmawiał, ale krajowi potrzebni są mądrzy przywódcy z otwartymi głowami. Sir John spojrział na mnie wnikliwie i powiedział: „masz rację, mądrzy ludzie są potrzebni zawsze i wszędzie, ale niestety nie wszyscy nadają się do polityki”. To prawda, wszak polityka to gierki i intrygi oraz sztuka odwracania kota ogonem. Nie ma wątpliwości, że w nauce takie atrybuty niewarte są funta kłaków.

Kiedy na powrót znalazłem się w Krakowie było już jasne, że Profesor nie znalazł dla swoich starań odpowiedniego poparcia i zakończyły się one fiaskiem. Jeden z moich szkolnych przyjaciół, lokalny polityk, potwierdził, że większość krakowskich radnych

stała się przeciwna Profesorowi po tym, jak publicznie ogłosił, iż w Krakowie wszystkich radnych należy natychmiast pozbawić mandatu. Profesor Gryglewski przez wiele lat po tych wydarzeniach wielokrotnie wyrażał się o swoim pomysle kandydowania jako mocno nieprzemyślanym, zrealizowanym spontanicznie pod presją i niezgodnym z jego charakterem.

Dzięki staraniom Profesora odkrycie prostacykliny zbiegło się z powołaniem do życia przy Państwowym Szpitalu Klinicznym w Krakowie Oddziału Farmakologii Klinicznej Katedry Farmakologii. Kierownikiem i ordynatorem oddziału została adiunkt Katedry Farmakologii, wówczas docent Elżbieta Kostka-Trąbka (zm. w 2011 roku). Na Oddziale rozpoczęto stosowanie prostacykliny oraz jej wielu analogów w zachowawczym leczeniu choroby zakrzepowej tętnic obwodowych, naczyń siatkówki oka oraz udaru mózgu. Niebawem zmienił się jednak w Polsce system finansowania leczniczych procedur. Powołany został Narodowy Fundusz Zdrowia, którego arbitralną decyzją ten doświadczalno-kliniczny oddział, powiedzielibyśmy teraz oddział badań translacyjnych, utracił możliwość finansowania z budżetu ochrony zdrowia. Oddział musiał zostać rozwiązany.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku Profesor implantuje w Katedrze nowe trendy badawcze, polegające na poszukiwaniach (obok prostacykliny) także innych śródbłonkowych substancji naczyniorozszerzających i przeciwpłytkowych. Jednocześnie w kilku ośrodkach badawczych na świecie dochodzi do odkrycia EDRF (endothelium derived relaxing factor), zidentyfikowanego później jako tlenek azotu – NO. W Katedrze Farmakologii odkryte zostają doświadczalne podstawy do postawienia hipotezy, że wolne rodniki tlenu są potencjalnymi konkurentami syntezy tlenu azotu. Ponownie odbiło się to szerokim echem w międzynarodowym piśmiennictwie naukowym.

To przypomina mi, że Profesor zapytany kiedyś, co jest najważniejsze do oceny dokonań naukowca bez wahania odpowiedział: „zaistnieć”. Dodał jeszcze, że on do oceny czyjegoś naukowego rozwoju wcale nie potrzebuje żadnych naukometrycznych wymysłów ani algorytmów. Najważniejsze jest, czy ktoś ze swoimi badaniami odznaczył się, stał się

widocznym. Na pewno miał rację. On sam ze swoimi badaniami funkcji naczyniowego śródbłonna zaistniał aż po horyzont.

Z początkiem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Profesor podejmuje ważną decyzję wprowadzenia w Katedrze do badań mechanizmów działania tlenu azotu i prostacykliny techniki izolowanych komórek oraz hodowli tkankowych.

Należy w tym miejscu wspomnieć, że dzięki autorytetowi Profesora właśnie w latach dziewięćdziesiątych zainicjowana została w Katedrze Farmakologii bardzo owocna współpraca naukowa z duńską firmą farmaceutyczną GEA. W ramach tej współpracy przebadano z powodzeniem działania farmakologiczne wielu nowo syntetyzowanych w GEA związków, tak zwanych donorów tlenu azotu. Skłonność do podjęcia współpracy naukowej z Katedrą wśród zachodnich firm farmaceutycznych nie była w tym czasie czymś wyjątkowym. Powstawało bowiem w Katedrze bardzo wiele ważnych odkryć naukowych, które budziły ogólnoświatowe zainteresowanie.

Profesor odszedł na emeryturę w roku 2003 w wieku 70 lat. W roku 2017, będąc już w wieku 85 lat, a w stanie spoczynku od lat piętnastu, za całokształt swojego obywatelskiego zaangażowania otrzymał z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej najwyższe odznaczenie państwowe – Order Orła Białego. Wraz z rodziną Profesora, jego wieloma przyjaciółmi oraz władzami UJCM w Krakowie z ogromnym wzruszeniem towarzyszyłem Profesorowi podczas tej państwowej uroczystości w Pałacu Prezydenckim. Pamiętam, że Profesor nie zdecydował się wygłosić z tej okazji żadnego przemówienia, a przecież uwielbiał i potrafił znakomicie mówić. Złożył tylko indywidualne podziękowania wszystkim przybyłym na tę uroczystość. Osobiście podczas uroczystości uświadomiłem sobie, jak to wspaniale, że Profesor otrzymuje odznaczenie będąc wciąż w pełni swojej intelektualnej sprawności. Tylko wtedy honory i odznaczenia mają największy sens.

Myszę, że Profesor, pomimo swojej dość ciernistej drogi życiowej, mam tu na uwadze głównie życiowe zawirowania z powodu drugiej wojny światowej, był ponadprzeciętnym optymistą. Uważał i dawał temu niejednokrotnie wyraz, że w karierze naukowej

dopisywało mu ogromne szczęście i niezwykłym trafem zawsze to swoje szczęście potrafił w porę dostrzec.

Myślę też, że był człowiekiem z dużym ego, ale nie przeszkadzało mu to wcale lubić ludzi i od początku każdej znajomości zawsze hojnie obdarowywać ich kredytem zaufania. Niestety, kredyt zaufania nie zawsze przynosił pożądane efekty. W ciągu wielu lat wzajemnych współzależności niejednokrotnie miałem okazję widzieć, że był bezceremonialnie manipulowany. Miało to wpływ na podejmowanie różnych nietrafnych decyzji, w tym personalnych. Na szczęście potrafił też, chociaż nie robił tego zbyt chętnie, przyznawać się do błędów. Mawiał z właściwym sobie wdziękiem, że podobno tylko Kopernik się nie mylił, ale i to tylko podobno.

Miał ogromną wiedzę, interesowała go nie tylko medycyna i farmakologia, ale też historia, literatura, filozofia, kino, teatr, muzyka. Był wymagającym szefem, ale też zawsze pomocny i skory do fascynacji najbardziej nawet wymyślną i niewiarygodną hipotezą. Jego entuzjastyczny stosunek do nauki sprawiał, że wszyscy byliśmy zachwyceni, jeśli tylko udało się nam potwierdzić eksperymentalnie coś, co sobie akurat zmyślnie wykal-kulował w głowie.

Z chwilą kiedy Profesor postanowił być emerytem zaprzestał bywania w Katedrze. Podczas późniejszych przypadkowych spotkań właściwie nie był sprawami Katedry w ogóle zainteresowany, nie zadawał żadnych pytań. W rozmowie ograniczał się do zdawkowych uprzejmości. Po prostu, po uporządkowaniu wszystkich swoich spraw pewnego dnia Profesor opuścił Katedrę nagle i bezpowrotnie. Trwało to dwadzieścia lat, aż do dnia jego śmierci. Z własnej woli pozostawał na uboczu wszystkich naszych dotąd wspólnych działań. Kilka dni przed opuszczeniem gabinetu powiedział do mnie, że zamierza zająć się wyłącznie tym, na co dotąd nie pozwalał mu niekończący się wir wydarzeń. Zapamiętałem, co wówczas powiedział: „Uwielbiam prowadzić samochód. Zawsze miałem dobre samochody i lubiłem nimi podróżować po świecie. Zaplanowałem sobie być jeszcze w wielu miejscach. Może to jest też właściwy czas, aby zająć się spisaniem tego, co w życiu miałem szczęście osiągnąć”.

Co do szczęścia, Profesor chętnie powtarzał, że do osiągnięcia sukcesów w nauce najważniejsze jest mieć szczęście, a on właśnie, nieskromnie mówiąc, niewyjaśnionym zbiegiem okoliczności zawsze je miał.

Mistrzu – ja miałem ogromne szczęście spotkać Ciebie.

Bez wątpienia był to dla mnie moment zwrotny, powiedziałbym kairotyczny, jak zwykli mawiać Grecy, pomni Kairosa, swojego starożytnego bożka szczęśliwego trafu.

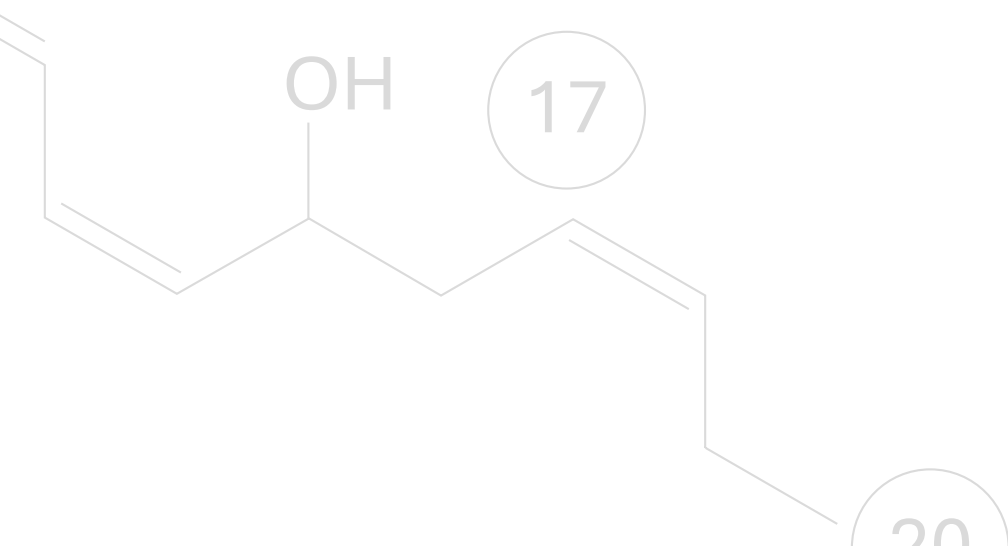
Cieszę się, że w wirze wydarzeń swego szczęśliwego trafu nie przegapiłem.

Wspaniale było Cię poznać.

Wielki żal, że nie ma już Ciebie wśród nas.

Prof. dr hab. Ryszard Korbut

Katedra Farmakologii Wydziału Lekarskiego
Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum
Kierownik Katedry w latach 2004–2018



**Profesor
Ryszard J. Gryglewski
– pionier farmakologii
śródbłonka naczyniowego**



Uczestnicy konferencji poświęconej pamięci Profesora Ryszarda Gryglewskiego – the Profesor Ryszard Gryglewski Memorial Symposium, które odbyło się 2 czerwca 2023 roku w Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego



Reportaż z tego sympozjum wraz z wypowiedziami jego wykładowców poświęconymi postaci Profesora Gryglewskiego można zobaczyć na stronach: <https://bit.ly/gryglewski-memorial>

Profesor Ryszard Jerzy Gryglewski, mój Mistrz w Nauce, wyznaczył tory mojej kariery akademickiej. Przez kilkanaście lat obserwowałem jego działalność i czerpałem wiedzę oraz doświadczenie z jego mądrości uczonego. Najpierw jako student medycyny, gdy stawiałem pierwsze kroki w pracy doświadczalnej w Katedrze Farmakologii, a potem jako młody badacz na drodze do mojego doktoratu pod jego promotorską opieką. Potem, gdy prowadziłem badania jako asystent w zespole profesora Gryglewskiego, i w końcu, gdy zdobywałem pierwsze szlify samodzielnego badacza po uzyskaniu habilitacji. To pierwsze dziesięciolecie mojej działalności naukowej w Katedrze Farmakologii, prowadzonej przez profesora Gryglewskiego było dla moich zainteresowań badawczych najważniejsze i zdeterminowało obszary badań, które do dzisiaj stanowią centrum moich zainteresowań naukowych.

Może nie trzeba powtarzać, że profesor Gryglewski zostanie zapamiętany jako współodkrywca prostacykliny (PGI₂). Jako pierwszy ochotnik w historii medycyny, który otrzymał wlew dożylny prostacykliny, i był pierwszym świadkiem jej naczyniorozszerzającego i przeciwpłytkowego działania farmakologicznego u człowieka. Jako autor wielu przełomowych odkryć w badaniach nad śródbłonkiem, w tym odkrycia pokazującego nietrwałą naturę czynnika rozkurczowego pochodzenia śródbłonkowego (EDRF – endothelium derived relaxing factor), niszczonego przez jony ponadtlenkowe, co utorowało drogę do identyfikacji EDRF jako tlenu azotu (NO). Ostatnio ukazało się nasze wspomnienie o profesorze Gryglewskim, w którym napisaliśmy więcej o jego osiągnięciach (Stefan Chlopicki, Rafał Olszanecki, Rod J Flower: Professor Ryszard Jerzy Gryglewski: pioneer of pharmacology of vascular endothelium, *Cardiovasc Res*, 2023 May 22;119 (5): e133-e135, artykuł w serii *Icon in Cardiovascular Research*).

Warto jednak jeszcze raz powtórzyć, że profesor Gryglewski był głęboko przekonany, iż śródbłonek naczyniowy wyściełający naczynia krwionośne całego układu krążenia powinien być postrzegany jako narząd naszego organizmu, którego nieprawidłowe działanie wymaga korekty farmakologicznej, aby skutecznie leczyć choroby sercowo-naczyniowe. Uważał, że naczynioprotekcyjne mechanizmy śródbłonka naczyniowego mogą chronić przed

rozwojem miażdżycy i jej powikłań sercowo-naczyniowych. Był przekonany, że wykorzystanie ochronnych mechanizmów farmakoterapeutycznych śródbłonka naczyniowego w terapii mogłoby się przyczynić do skutecznego leczenia chorób układu sercowo-naczyniowego.

Ta spuścizna myśli naukowej profesora Ryszarda J. Gryglewskiego otworzyła nowe horyzonty badań farmakologicznych. Układają się one w nową dziedzinę farmakologii – farmakologii śródbłonka naczyniowego. Profesor Gryglewski był twórcą i pionierem farmakologii śródbłonka. Te wątki jego myślenia staramy się obecnie nadal rozwijać.

Zaburzona czynność śródbłonka naczyniowego ma znaczenie nie tylko w miażdżycy i nie obejmuje jedynie zmian czynności śródbłonkowej prostacykliny i śródbłonkowego tlenu azotu, którym wiele uwagi w swoich badaniach doświadczalnych i klinicznych poświęcił profesor Gryglewski, ale przyczynia się do patogenezy wszystkich chorób człowieka i obejmuje zmiany czynności wielu różnych mechanizmów śródbłonka naczyniowego. Metodologia badawcza, którą dzisiaj stosujemy jest już inna, inny jest także zakres badań, jednak główna myśl, która przyświeca działaniom naukowym w Jagiellonian Centre for Experimental Therapeutics (JCET), centrum badawczym Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozwijającego działalność ukierunkowaną na badania w zakresie biomedycyny śródbłonka, pozostaje dokładnie taka sama, jaka przyświecała działalności naukowej profesora Ryszarda Gryglewskiego, a mianowicie: „należy lepiej zrozumieć mechanizmy zaburzenia czynności śródbłonka naczyniowego, bo one prowadzą do wielu chorób”.

Profesor Gryglewski mawiał, że istnieje farmakologia serca, trzustki, wątroby i nerki, musi zatem zaistnieć farmakologia śródbłonka naczyniowego. Diagnostyka i terapia chorób układu krążenia skupiona na leczeniu dysfunkcji śródbłonka powinna więc stać się powszechną praktyką w medycynie klinicznej. Ufam, że w końcu tak będzie. Stanowiłoby to spełnienie głębokiego przekonania profesora Gryglewskiego co do centralnej roli patologii śródbłonka naczyniowego w rozwoju chorób układu krążenia.

Żywo pamiętam wybitną osobowość naukową profesora Gryglewskiego. Był to uczony wielkiego kalibru, o szerokich horyzontach myślenia w nauce i zarazem humanista o szerokiej wiedzy.



Profesor Ryszard J. Gryglewski
w czasie 17th JMRC Symposium
– John Robert Vane Memorial,
które odbyło się 6 maja 2009 r.
w Collegium Maius

Był geniuszem skojarzeń. Skojarzenia te pozwalały profesorowi Gryglewskiemu powiązać dalekie, wydawałoby się niepowiązane fakty w jedną piękną historię. A miał tych pięknych historii swoich odkryć do opowiedzenia wiele. My, jego uczniowie, doświadczyliśmy i obserwowaliśmy nieraz tę niezwykłą umiejętność zadawania celnych pytań i naprowadzania innych na ciekawe tory, żebyśmy nie brnęli dalej w ślepy zaułek badań. Był jak busola wskazująca ścieżki badawcze.

Był szczodrym nauczycielem akademickim i powtarzał, że w nauce należy być szczodrym, to tak nieczęsty dzisiaj atrybut uczonego.

Miał szerokie spojrzenie na badane zjawiska i lubił widzieć dalekie perspektywy badanych zjawisk, a zarazem potrafił wgłębiać się w szczegóły maszynierii życia na poziomie skomplikowanych reakcji biochemicznych. Zawsze te dwa aspekty jego myślenia szły w parze, nigdy tylko te ostatnie, a zawsze towarzyszyły im niezwykła logika i dyscyplina myślenia podparte jego ogromną wiedzą.

Te kilka atrybutów wybitnego umysłu genialnego uczonego nas, jego uczniów, onieśmiały, ale czerpaliśmy z nich pełnymi garściami.

Śródbłonek – „mon amour”. Profesor Gryglewski kochał przedmiot swoich badań i to było widać na jego wykładach, gdy pokazywał kuleczki całkowicie pokryte pięknymi komórkami śródbłonka i opowiadał z pasją, jak z tych komórek śródbłonka wydzielają się równocześnie jego dwa ważne przekazy (prostacyklina i tlenek azotu). Chłonałem tę wiedzę z wykładów Profesora jako student medycyny, a potem jako młody naukowiec.

Podziwiałem też wtedy w wykładach profesora Gryglewskiego elegancję słowa, gestów, ubioru i tak precyzyjnie przekazaną treść. Nie padało żadne zbędne słowo, sama kwintesencja spraw ważnych i ciekawych, bez niepotrzebnego balastu.

Podziwiałem wykłady profesora i byłem nimi zafascynowany. Sądzę, że zainspirowały mnie do tego, żeby szukać rozwoju zawodowego w pracy doświadczalnej w Katedrze Farmakologii, a potem przez wiele lat dawały mi wgląd w myśli mojego Mistrza w Nauce. Była w nich unikatowa poetyka słownego przekazania wiedzy studentom, nawet jak meritum było już mi znane, podziwiałem pięknie wyrzeźbione, wartościowe dzieło.

Potem podobny zachwyt ucznia wzbudzała lekcja, jaka płynęła ze wspólnej pracy z profesorem Gryglewskim nad pisanem publikacji. W mozolnie tworzonych pracach naukowych uczyłem się dyscypliny i trafnego dobierania słów oraz ujmowania istoty najważniejszych opisywanych zjawisk, odrzucając poboczne, mniej ważne znaleziska. Jeśli sformułowanie było nietrafione, Profesor poprawiał mój tekst na wydruku swoim stylowym wiecznym piórem i nagle brzmiało to doskonale: „język giętki, powiedział dokładnie to, co pomyśli głowa...”

Profesor Ryszard J. Gryglewski wykładał z pasją, pisał prace z pasją, ale nade wszystko miał w sobie niebywałą pasję do odkrywania nowych ciekawych zjawisk natury. Oczekiwał też zamięłowania do nauki i poświęcenia dla badań naukowych od swoich współpracowników. Mogło się to na przykład przejawiać poszukiwaniem pracownika o ósmej rano, uznaniem prowadzenia pracy doświadczalnej do późnych godzin nocnych za coś zupełnie normalnego albo prośbą o przygotowanie jakiegoś kilkustronicowego tekstu na dzień następny.

Dzisiaj z innej pozycji akademickiej niż wtedy powtarzam chętnie za moim Mistrzem: tak, do uprawiania nauki potrzebna jest pasja, potrzebne są zdolności, ogrom wytrwałości i przysłowiowy łut szczęścia, ale bez tego pierwszego nie da się uprawiać nauki. Profesor Gryglewski miał je wszystkie, ale pasję do nauki posiadał w najwyższym stopniu. Parafrazując słowa ulubionego poety profesora Wiliama Blake’a: „The tigers of passion are wiser than the horses of instruction”.

Profesor Gryglewski miał pasję odkrywcy, ale i dystans mędrca. Lubił powtarzać, znów za tym samym ulubionym angielskim poetą: „A kto by chciał świadczyć dobro bliźniemu, ten musi czynić to w maleńkich porcyjkach. Nauka i Sztuka nie mogą zaistnieć inaczej niż w postaci precyzyjnie klejonych okruchów”. Uczony z fragmentarycznej wiedzy zdobywanej małymi częściami stara się ułożyć obraz całości, tak jakby chciał na podstawie kawałków rozbitej greckiej wazy zobaczyć, jak ona naprawdę wyglądała. Z perspektywy czasu swoje ważne odkrycia traktował właśnie tak: niczym kilka precyzyjnie posklejanych okruchów. Już jako emerytowany profesor w jednym z wywiadów mówił: „mam odrobinę satysfakcji z tego, co osiągnąłem”.

Profesor Ryszard J. Gryglewski
w czasie swojego wykładu
na 13th JMRC Symposium,
które odbyło się
w Międzynarodowym
Centrum Kultury
w dniach 5–7 czerwca 2005 r.





Profesor Ryszard J. Gryglewski wręcza dyplom doktorski Stefanowi Chłopickiemu
w czasie promocji doktorskiej w Auli Collegium Novum UJ w 1994 r.

Profesor Gryglewski doceniał swoich mistrzów i cenił przyjaźń w nauce. Często lubił do swoich Mistrzów i Przyjaciół w Nauce wracać w rozmowach, dzieląc się wiedzą, którą od nich uzyskał, żeby ją dalej przekazać swoim uczniom. Dlatego będąc blisko profesora Gryglewskiego, byłem blisko jego najważniejszych mistrzów. Dzięki temu stawał mi jak żywy przed oczami nieznan mi osobiście profesor Janusz Wiktor Supniewski, genialny chemik i lekarz, który wykladał posiłkując się pustymi kartkami, żeby nie zawstydzać studentów, że ma wszystkie wzory chemiczne w głowie.

Tak mój nauczyciel wspominał swojego Mistrza: „od Supniewskiego nauczyłem się podstawowych praw rzemiosła – *nie mów, jak nie wiesz; nie opuszczaj żadnej okazji nauczania się czegośkolwiek, choćby najbardziej odległego od twoich zainteresowań; opublikowane prace są najcenniejszym skarbem, jaki posiadasz; do wykładu przygotuj się dziesięć razy dłużej niż będzie trwać, wykład to twoja wizytówka*”. Podobnie w opowiadaniach profesora Gryglewskiego poznałem legendę farmakologii brytyjskiej sir Johna Vane’a (laureata Nagrody Nobla), zanim mogłem go poznać osobiście i posłuchać jego znakomitych wykładów. Na sympozjach organizowanych przez profesora Gryglewskiego w Krakowie poznałem wiele osobistości ze światowej czołówki nauki (w tym trzech innych noblistów!) i mogłem zdobywać pierwsze szlify w wystąpieniach przed noblistami. Przed moim pierwszym wystąpieniem Profesor napisał do mnie na wręczonym mi programie: „Panie Stefanie, to musi być Pana wejście smoka”.

To wystąpienie miało miejsce na jednym z pierwszych międzynarodowych sympozjów JMRC organizowanych w Krakowie przez Profesora Gryglewskiego z udziałem sir Johna Vane’a, z którym łączyła go szczególna przyjaźń w nauce. Wielu współpracowników Profesora wyjeżdżało do Londynu, a sir John Vane niejednokrotnie przyjeżdżał do Krakowa. Mogłem zatem wielokrotnie słuchać wykładów Vane’a w Krakowie, a po jego wyjeździe utrwałać sobie powtarzane przez profesora Gryglewskiego jego powiedzenia: „Obserwuj, nie ignoruj tego co nieoczekiwane! Bądź gotowy na natychmiastową zmianę hipotezy. Planuj proste doświadczenia i zamykaj je prostymi hipotezami. Inni będą potem je komplikować”.

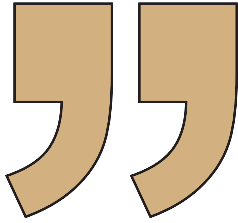
Profesor Ryszard Jerzy Gryglewski miał też oczywiście własne powiedzenia, z których najbardziej lubię to, które przytaczał zresztą często na swoich wykładach: „in vivo veritas”. Bardzo chętnie je powtarzam moim uczniom. W ten sposób, tak samo jak współpracując z Profesorem byłem blisko jego Mistrzów, tak samo moi uczniowie, słyszą o moim Mistrzu.

Jednak powracamy nie tylko do cennych myślatek profesora Gryglewskiego, ale przede wszystkim cenimy jego spuściznę myśli naukowej, która otworzyła nowe horyzonty badań farmakologicznych. Często wracam myślą do pionierskich badań Profesora, a kiedyś napisane przez niego słowa: „W farmakologii śródbłonka wszystko jest nowe. (...) Stare utarte szlaki badawcze są bezpieczne, natomiast nowo odkryte ścieżki są ciekawe” – stanowią dzisiaj motto misji JCET, centrum badawczego, którego działalność skoncentrowana jest na badaniach w zakresie biomedycyny śródbłonka.

Profesor Ryszard Jerzy Gryglewski był gigantem farmakologii, niezwykłym odkrywcą, wybitnym uczonym i niezwykłą osobowością. Miałem szczęście być jego, jak mnie kiedyś nazwał, „udanym uczniem”, i przez wiele lat czerpać garściami z jego hojności w nauce.

Prof. Stefan Chłopicki

Katedra Farmakologii Wydziału Lekarskiego
Collegium Medicum, Uniwersytet Jagielloński
Jagiellonian Centre for Experimental Therapeutics (JCET),
Uniwersytet Jagielloński



Od Supniewskiego nauczyłem się
podstawowych praw rzemiosła

- *nie mów, jak nie wiesz;*
- *nie opuszczaj żadnej okazji nauczania
się czegokolwiek,
choćby najbardziej odległego od twoich
zainteresowań;*
- *opublikowane prace są najcenniejszym
skarbem, jaki posiadasz;*
- *do wykładu przygotuj się
dziesięć razy dłużej niż będzie trwać,
wykład to twoja wizytówka.**

Prof. Ryszard J. Gryglewski

* R. Gryglewski: *Moje spotkania z nauką*. W: *Historia Farmakologii w Polsce*.
Andrzej Denysz (red.). Polskie Towarzystwo Farmakologiczne, Warszawa 1997, s. 504–505.

**Pierwsze na świecie
podanie prostacykliny
i garść innych wspomnień
o Gigancie nauki**

Pierwsze zetknięcie z profesorem Ryszardem J. Gryglewskim miałem w 1967 roku, na studiach. Był kierownikiem Katedry Farmakologii Akademii Medycznej w Krakowie. Na trzecim roku studiów lekarskich wypadały nam zajęcia z farmakologii. Miał to być pomost pomiędzy naukami teoretycznymi pierwszego i drugiego roku a naukami klinicznymi, rozpoczynającymi się na roku trzecim. W teorii farmakologia miała sprawić, iż studenci idąc do kliniki będą dysponować podstawową wiedzą o lekach, które stosują lekarze. Oczywiście skomplikowane wzory chemiczne i ogrom wiedzy o działaniu specyfików aktualnie używanych do leczenia pacjentów jak też tych, które miały już tylko historyczne znaczenie nie zachęcał studentów do wgłębiania się w meandry tego przedmiotu. Generalnie miał opinię nudnego.

Na przekór temu profesor R.J. Gryglewski przykładał ogromną wagę do czynienia swoich wykładów atrakcyjnymi. W zdecydowanej większości udawało się to i chodziliśmy na spotkania z nim bardzo chętnie, sala wykładowa w starym budynku Collegium Medicum przy ul. Grzegórzeckiej szczelnie wypełniona była studentami. Czasem zdarzało się, że przychodzili też z Uniwersytetu Jagiellońskiego nie medycy. Profesor lubił opowiadać pokręcone historie odkryć omawianych leków. Pamiętam, jak dużo czasu poświęcił także ważnym dla nauki światowej odkryciom swojego wielkiego poprzednika w Katedrze – profesora Janusza Supniewskiego.

Czas (ponad pół wieku) mógł zatrzeć szczegóły, ale jeden wykład zapadł mi wyjątkowo głęboko w pamięć. Profesor omawiał środki odurzające. Swoim zwyczajem wygrzebał gdzieś ciekawą historyjkę, którą nam zechciał barwnie opowiedzieć jako przerywnik w poważnych rozważaniach. I tę właśnie historyjkę pamiętam do dzisiaj. Podczas prohibicji w Ameryce w czasach Ala Capone rozwinęły się niebywale wzajemnie zwalczające się gangi. Używaną metodą obezwładnienia niespodziewającego się niczego gangstera było upijanie go alkoholem. Niestety dla zbójckiego rzemiosła wymagało to wypicia dużej ilości wódki czy whisky. Jeden z mafijnych bossów zapragnął takiego napoju, który pozbawiałby delikwenta przytomności już po jednym kieliszku. W bandzie był chemik, który zaczął eksperymentować z różnymi mieszankami. W końcu udało mu się! Opracował taką kombinację środków

odurzających, która dodana do kieliszka alkoholu pozbawiała przytomności. Gangsterzy nadali temu wynalazkowi nazwę „Krople Mickey Finna”, utrwalając nazwisko sprytnego eksperymentatora. Oczywiście studenci chcieli dowiedzieć się, jaki był skład tych „kropli”, ale wykładowca zrobił się bardzo tajemniczy i niczego nam nie zdradził.

Gdy byłem już na wyższych latach studiów, Profesor został prodziekanem ds. studenckich. W tym czasie brać studencka, wyłączając indyferentnych, których nic nie interesowało, była podzielona na dwa obozy. Istniały bowiem dwie aktywne organizacje – ZSP, czyli Zrzeszenie Studentów Polskich i ZMS, czyli Związek Młodzieży Socjalistycznej; ZMS było silnie związane z organizacją partyjną (PZPR), ZSP gromadziło większość studentów. Była to organizacja w swojej masie bardzo krytyczna wobec partii i jak tylko mogła pokazywała swoją niezależność. Poprzednik dziekana R.J. Gryglewskiego urzędował w określone dni w biurze dziekanatu. Tymczasem w ZSP odkryliśmy, iż dziekan Gryglewski chętnie reagował na nasze zaproszenia. Przychodził na organizowane przez nas imprezy i długo ze studentami gwarzył. Czuło się w tych rozmowach, iż podobnie jak członkowie Zrzeszenia ma bardzo krytyczny stosunek do socjalistycznych władz. Budziło to powszechne uznanie i szacunek.

W 1972 roku na osierocone stanowisko kierownika Kliniki Alergologii w krakowskiej Akademii Medycznej sprowadzono z Wrocławia młodego docenta Andrzeja Szczeklika. Wychowany w klinice i laboratorium swojego ojca – słynnego profesora Edwarda Szczeklika był szczególnie zainteresowany prowadzeniem badań naukowych. Nic dziwnego, iż szybko Klinika Alergologii nawiązała bliską współpracę z Katedrą Farmakologii, a obaj kierownicy stali się przyjaciółmi na wiele, wiele lat.

W 1974 roku w Instytucie Onkologii w Krakowie prowadziłem pierwociny intensywnej terapii i interesowały mnie m.in. techniki nawilżania dróg oddechowych. Zostałem wtedy poproszony o pomoc w badaniach z użyciem aerozoli w Klinice Alergologii. Okazało się, iż pacjentom z astmą oskrzelową podają, w ramach badań naukowych, wzięwnie dwie prostaglandyny o różnym działaniu. Był to okres odkryć i wielkiego zainteresowania prostaglandynami i innymi pochodnymi kwasów tłuszczowych, w szczególności kwasu arachidonowego. Profesor Gryglewski współpracował ze światowej sławy guru prostaglandynowym

– profesorem Johnem Vane’em, brytyjskim farmakologiem, dyrektorem badawczym firmy Wellcome Foundation, i często sam prowadził badania w jego laboratorium w Anglii.

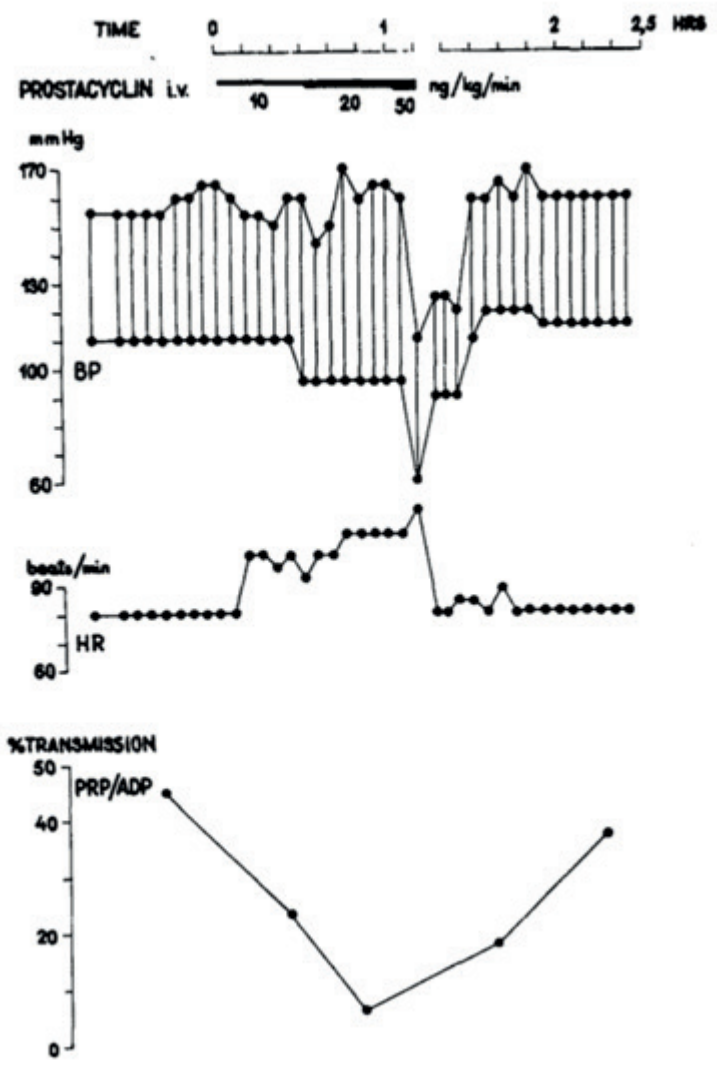
Nadzieją była prostaglandyna PGE₂, która wykazywała właściwości rozluźniania mięśniówki oskrzeli. Gryglewski i Szczeklik doszli do wniosku, iż może potencjalnie mieć zastosowanie u pacjentów z astmą oskrzelową, u których łatwo dochodzi do skurczów mięśniówki, powodujących zwężenie oskrzeli i odczuwaną przez pacjenta duszność.

Profesora Gryglewskiego zawsze bardzo interesowała możliwość zastosowania nowo odkrytych substancji u pacjentów. Było to niewątpliwie nowatorskie podejście do zastosowania prostaglandyn. Podawaliśmy w inhalacji prostaglandynę E₂ i F₂alfa. Pierwsza wykazywała pewne działanie bronchodylatacyjne (rozszerzające oskrzela). Prostaglandyna F₂alfa miała natomiast przeciwne działanie – obkurczała oskrzela, co oczywiście wykluczało jej zastosowanie w astmie. W międzyczasie okazało się, że PGF₂alfa obkurcza mocno mięśniówkę macicy i w tym zastosowaniu stała się lekiem do dziś wykorzystywanym przez ginekologów. Prostaglandyna E₂ długo jeszcze była obiektem badań w Klinice Alergologii; Gryglewski i Szczeklik mieli nadzieję, że da się dobrać takie stężenia, które będzie można wykorzystać do rozkurczania oskrzeli w napadach duszności astmatycznej. Niestety miała ona działanie drażniące i ostatecznie nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

Współpraca farmakologa, który dogłębnie znał mechanizmy biochemiczne i klinicyści zaowocowały nieco później wspaniałym odkryciem. Otóż wśród różnych typów astmy oskrzelowej jest taka, w której napad duszności wywołuje zażycie aspiryny. Profesorowie Gryglewski i Szczeklik odkryli, iż za ten efekt odpowiada nie mechanizm immunologiczny, ale działanie aspiryny na syntezę prostaglandyn.

Profesor Szczeklik zamierzał zorganizować oddział intensywnej terapii dla prowadzenia najczęściej chorych internistycznych (oddziały takie dla pacjentów chirurgicznych już w Krakowie istniały). Powierzył mi organizację i prowadzenie tego oddziału.

W 1976 roku profesor Gryglewski ponownie pojechał do Anglii, by przeprowadzać eksperymenty nad prostaglandynami. Zespół profesora Vane’a opracował unikalną metodę badawczą – kaskadę tkanek, po której spływał roztwór zawierający badane substancje.



Pierwsza infuzja prostacykliny u człowieka

Poszczególne tkanki zwierzęce reagują na badane substancje skurczem lub rozkurczem, co mierzą podpięte do tych tkanek czujniki. Ryszard J. Gryglewski przy użyciu takich kaskad badał uwalnianie prostaglandyn i tromboksanu z różnych narządów.

Profesorowie Gryglewski i Szczeklik pozostawali w kontakcie telefonicznym. Pewnego razu Andrzej Szczeklik na zebraniu zespołu klinicznego oznajmił, iż najprawdopodobniej profesor Gryglewski przywiezie bardzo ciekawe, ważne dla nas, nowości naukowe. Wkrótce po jego powrocie mieliśmy okazję, wspólnie jako zespoły Farmakologii i naszej Kliniki, usłyszeć opowieść profesora Gryglewskiego o historii odkrycia prostacykliny. Opowiadał niezwykle barwnie. Pewnego razu badał na kaskadzie tkankowej płyn perfundowany przez naczynia tętnicze. Zestawienie reakcji poszczególnych tkanek nie pasowały ani do prostaglandyny E2, ani prostaglandyny F2alfa czy też do tromboksanu. W pierwszej reakcji na te wyniki pomyślał, iż coś poszło nie tak, wystąpił jakiś błąd i badanie trzeba powtórzyć. Jednak zestawienie nowej kaskady przyniosło takie same wyniki jak poprzednio. Bardzo intrygujące! Oznaczałoby to, iż z perfundowanej tętnicy nie wydziela się żadna ze znanych prostaglandyn. John Vane żartował, iż to jakaś nowa substancja, ochrzcił ją szybko „Richard’s substance”. Przez parę dni żartowali sobie i z przymrużeniem oka powtarzali „Richard’s substance” lub „Polish substance”. Po wykonaniu szeregu prób sprawdzających i stale powtarzającym się nietypowym wyniku było jasne, iż uwalniana ze ściany naczynia substancja to nowy, nieznaną związek. Kolejne eksperymenty wykazały, iż jest on podobny do znanych już prostaglandyn i nadano mu pierwotnie nazwę prostaglandyny I2. Z czasem jednak zmieniono tę nazwę na prostacyklinę.

Jakiś czas później przyszedł do mnie na Oddział Intensywnej Terapii profesor Szczeklik z wiadomością, iż profesor Gryglewski zaprasza nas do siebie. Pojechaliśmy do Katedry Farmakologii na ul. Grzegorzeczką. Gospodarz zaprosił nas do swojego gabinetu, umeblowanego starymi meblami z pewnością pamiętającymi jeszcze profesora Supniewskiego. Opowiedział nam o swoim ostatnim pobycie u Johna Vane’a. W Wellcome Foundation potrafiono wyizolować z roztworu prostacyklinę i dokonać jej podstawowych analiz. Dla prowadzenia szerzej zakrojonych badań potrzebne było uzyskanie większej ilości tej substancji. Uzyskanie

jej jednak z materiału biologicznego w pożądanych ilościach było niemożliwe. Firma Wellcome zwróciła się do amerykańskiej firmy farmaceutycznej Upjohn z Kalamazoo, znanej z bardzo dużych możliwości syntezy nowych związków chemicznych. Dokładnie zbadali strukturę prostacykliny, a następnie ją zsyntetyzowali. W pewnym momencie profesor Ryszard J. Gryglewski wyjął niewielką fiolkę do połowy wypełnioną białym proszkiem. Oto nasza prostacyklina do badań! Z wyników badań na zwierzętach wiadomo było, iż podstawowe dwie jej własności to silne rozluźnianie mięśniówki tętnic i w konsekwencji rozszerzanie naczyń oraz zapobieganie agregacji płytek krwi, czyli przeciwdziałanie ich zlepianiu się. Nie była jednak podawana ludziom i należało ocenić jej działania u człowieka. Dyskutowaliśmy, czy teoretycznie są tacy pacjenci, którzy mogliby odnieść korzyści z podania im prostacykliny. Obaj z profesorem Szczeklikiem zaczęliśmy wymieniać patologie ludzkie, w których naczyniowo-rozszerzający lub przeciwplatekowany efekt mógłby okazać się pożyteczny. Profesor Gryglewski zapytał nas, czy uważamy za zasadne, aby przed zastosowaniem prostacykliny u pacjentów wykonać próby na zdrowych ochotnikach. Obaj potwierdziliśmy, iż jest to ze wszech miar wskazane, wręcz niezbędne. Zwykle pierwsza faza badań klinicznych jest organizowana na ochotnikach. Po pierwsze ze względu na ustalenie, czy takie podanie nie ma działań niepożądanych, nie stwierdzanych u zwierząt. Po drugie konieczne jest określenie dawek substancji, które moglibyśmy podawać chorym. Zapytałem, czy jakoś możemy określić prawdopodobną dawkę dla człowieka. Wtedy profesor Gryglewski, uśmiechając się i przewracając oczami zapytał, czy aby my nie chcielibyśmy wykonać takiego badania na zdrowych ochotnikach? Zapaliliśmy się natychmiast do tego pomysłu. A czy możemy takie badanie przeprowadzić bezpiecznie? Mamy oddział Intensywnej Terapii, który zapewnia maksimum bezpieczeństwa. Wtedy Ryszard Gryglewski oświadczył: „ja będę pierwszym ochotnikiem”. Na to Andrzej Szczekliki: „to ja po Tobie, Rysiu”. Zgłosiłem swój akces, ale obaj zgodnie uznali, iż ja muszę zadbać o podanie prostacykliny oraz zapewnić maksymalne bezpieczeństwo ochotnikom; jako ostatni mogę położyć się i poddać wlewowi.

Następnie rozpoczęła się dyskusja techniczna. Mnie interesowało, jaką dawkę powinniśmy wybrać. I tutaj profesor Gryglewski zaczął na głos kalkulować dawki u myszy, szczurów

i jeszcze jakiś innych zwierząt. Mruczał, mruczał, aż w końcu rzucił: „myślę, że będzie to 10 ng/kg mc./min”. Dawka na minutę, gdyż uznaliśmy, iż najbezpieczniej podawać nieznaną substancję we wlewie. Czyli ochotnik według swojej masy ciała będzie otrzymywał kilkaset nanogramów prostacykliny w ciągu minuty wlewu. Zaproponowałem, iż będziemy zaczynać od dawki zdecydowanie niższej, np. 2 ng/kg mc./min. Profesor Gryglewski uznał, iż powinniśmy zwiększać dawkę do 5, a następnie 10 i 20 ng/kg mc./min, oczywiście o ile nie będzie jakiś niepokojących objawów. Wlew każdej dawki miał trwać 30 minut. Zwracał też uwagę, iż prostacyklina w temperaturze pokojowej jest nietrwała. Od chwili rozpuszczenia proszku do podania roztworu musimy zachować maksimum aktywności prostacykliny poprzez chłodzenie. Ustaliliśmy, jakie parametry będziemy mierzyć: częstość tętna i ciśnienie krwi, temperaturę; będziemy monitorować EKG i notować ewentualne zaburzenia rytmu serca. Ponadto okresowo będziemy wykonywać badania laboratoryjne, w szczególności agregację płytek krwi.

Gdy z profesorem Szczeklikiem ujawniliśmy na Klinice plan pilotażowego zastosowania prostacykliny, zgłosiło się trzech kolegów pragnących brać w tym udział. Asystenci Kliniki Alergii: doktorzy Ryszard Piętoń (obecnie w Santa Monica, USA), Józef Mruk (później Uniwersytet Kansas, USA) i Jacek Musiał (obecnie profesor medycyny, następca A. Szczeklika na stanowisku kierownika Kliniki Alergii i Immunologii) powiększyli grono ochotników do sześciu. Była też ambitna koleżanka (obecnie w San Francisco), która dopypywała mnie o możliwość dołączenia do zespołu. Po dyskusji z profesorem Szczeklikiem uznaliśmy, że nie możemy zwiększać ryzyka, bo nie wiadomo nic na temat ewentualnego wpływu prostacykliny na kwestie reprodukcyjne.

Zaczął się przygotowania: wyliczenia rozcieńczeń, szybkości pomp podających prostacyklinę. Skonstruowałem specjalny, płaszczowy system chłodzenia podawanego roztworu aż do wenflonu wkłutego do żyły. Nie miałem pewności co do pełnej sterylności substancji wytworzonej przez Upjohna ani wykonanego przez nas roztworu. Na szczęście dysponowaliśmy filtrami przeciwbakteryjnymi do stosowania we wlewach dożylnych i takie filtry montowałem do każdego zestawu. Nasz Oddział Intensywnej Terapii dysponował trzema

salami – trzyłożkową, czterołożkową i separatką. Separatka została wyłączona z rutynowej pracy oddziału i zaaranżowana tak, by mieć dobrze widoczne monitorowanie oraz dostęp do łóżka ochotnika ze wszystkich stron, płyny do przetoczeń i sprzęt reanimacyjny na wszelki wypadek.

Pierwszy ochotnik – profesor Gryglewski kładzie się. Podłączamy wlew płynów oraz dren z chłodzonym roztworem prostacykliny, na którym instalowana była pompa tłocząca z ustaloną szybkością. Zaczynamy wlew. Profesor czuje się świetnie, żartuje, jest mu trochę ciepło. Twarz i szyja zaczerwienia się i czuje lekkie ciepło na twarzy. Po pół godzinie wlewu 10 ng/kg mc./min. zwiększam dawkę do 20 ng/kg mc./min. Akcja serca przy dawce poprzedniej i aktualnej jest szybsza niż wyjściowo. Ciśnienie podwyższone. Po pół godzinie pytam, jak się czuje i czy kończymy. Profesor stwierdza, że możemy wypróbować kolejną dawkę. Przesuwam pompę na 50 ng/kg mc./min. Po około dziesięciu minutach Profesor skarży się na nudności, wyraźnie źle się czuje, spada ciśnienie krwi. Przerwywam wlew prostacykliny. Kładziemy pacjenta płasko, a nogi unosimy do góry i uruchamiam szybszy wlew dożylny soli fizjologicznej. Po 5 minutach ciśnienie wzrasta wyraźnie. Po 15 minutach powraca do wartości wyjściowych. Pacjent jest trochę wystraszony, ale dolegliwości ustępują całkowicie. Obserwację kontynuujemy jeszcze przez godzinę, a po tym czasie pionizujemy bez jakichkolwiek objawów i pozwalamy naszemu pierwszemu ochotnikowi wstać z łóżka.

Wlewy u kolejnego ochotnika – prof. Szczeklika kontynuuję do dawki 20 ng/kg mc./min. Wszystko przebiega prawidłowo. Z wyjątkiem zaczerwienienia twarzy i ramion, połączonego z uczuciem większej ciepłoty nie było innych objawów. Podobnie u doktorów R. Piętonia i J. Mruka. Przy wlewie u doktora Jacka Musiała wszystko przebiegało gładko. Przy dawce 20 ng/kg mc./min. czuł się świetnie i nie miał jakichkolwiek objawów. Zdecydowaliśmy się zatem spróbować dawki 50 ng/kg mc./min. Początkowo czuł się dobrze, ale chwilę potem zgłosił, iż kręci mu się w głowie. Ciśnienie spadło. Zatrzymałem wlew i zmieniliśmy ułożenie na płaskie. Kroplówkę soli fizjologicznej puściliśmy szybko. Ciśnienie skurczowe nadal było poniżej 100 mmHg. Zacząłem szybciej przetaczać sól fizjologiczną, aż niepostrzeżenie skończyła się i poleciało powietrze do żyły. Na szczęście niedużo, a sam ochotnik poczuł

to i chwycił się za ramię. Natychmiast zastopowałem wlew. Byłem cały spocony. Poprosiłem Jacka, aby przez pół godziny oddychał przez maskę 100% tlenem, żeby przyspieszyć wypłukanie azotu z powietrza, które otrzymał. Ciśnienie wróciło do normy i żadnych objawów na szczęście nie zanotowaliśmy. Kolejny, mój wlew, już tylko do 20 ng/kg mc./min. koledzy przeprowadzili sprawnie, bez najmniejszych kłopotów.

Byliśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, że eksperyment w pełni się udał. Było coś pięknego w tym, że odkrywca był jednocześnie pierwszym, który poczuł na sobie działanie odkrytej substancji. Potwierdziły się przedkliniczne obserwacje Profesora – silny efekt rozszerzenia naczyń oraz hamowanie zlepiania się płytek krwi stwierdzany laboratoryjnie. Jednocześnie odkryliśmy objaw nieznanym z badań na zwierzętach – zaczerwienienie i uczucie gorąca na twarzy i ramionach. Oznaczał on, iż nie da się prowadzić na grupach pacjentów badań porównawczych z placebo, których uczestnicy byliby zaślepieni (nie domyślali się, czy otrzymują prostacyklinę czy placebo). Wszyscy ochotnicy wyraźnie czuli, że otrzymują substancję działającą. Już wiedzieliśmy, że tak będzie ze wszystkimi pacjentami otrzymującymi eksperymentalne wlewy.

Po kilku miesiącach rozpoczęliśmy doświadczalne leczenie prostacykliną pacjentów z niedokrwieniem obwodowym, którzy nie mieli już innej opcji terapeutycznej poza amputacją kończyny. Wlewy zwykle rozpoczynaliśmy od dawki 2 ng/kg mc./min. i u pacjentów, którzy to tolerowali, stopniowo zwiększaliśmy do 10 ng/kg mc./min. Okazało się, że przy stosowaniu wielogodzinnych wlewów była to najwyższa dawka, jaką pacjenci znosili. Często wtedy młodym lekarzom, którzy przewijali się przez nasz Oddział opowiadałem, jak to profesor Gryglewski szybko obliczył dawkę dla człowieka – te 10 ng/kg mc./min. potwierdziło się.

Poszukiwaliśmy takiej patologii, w której prostacyklina okazałaby się skuteczną terapią. Na te tematy dyskutowaliśmy bardzo często w Profesorem, który żywo interesował się naszymi wynikami klinicznymi. Niejednokrotnie dopytywał o szczegóły, przedstawiał swoje sugestie. Ciekawą grupą pacjentów byli chorzy z nadciśnieniem płucnym. Nieczęste to schorzenie, ale w tamtym czasie nie było skutecznych leków, które rozszerzałyby zwężone tętnice płucne. Prostacyklina w naszych rękach okazała się obiecująca. Niestety nie mieliśmy dostatecznie

licznej grupy leczonych tą metodą. Na szczęście inni badacze poszli tą drogą dalej od nas i dzisiaj pochodne prostacykliny stanowią jedną z opcji terapeutycznych u tych chorych.

Naszą najliczniejszą grupą leczonych prostacykliną byli chorzy z niedokrwieniem obwodowym, powodowanym zarówno przez zmiany miażdżycowe, jak i przez zmiany zapalne – jak w chorobie Buergera. Zaobserwowaliśmy, że większe i trwalsze wyniki uzyskujemy w tej drugiej grupie pacjentów.

Prostacyklina jest nietrwała, szybko rozpada się do nieaktywnych pochodnych. Firmy farmaceutyczne zaczęły poszukiwać jej trwałych analogów i udało się im zsyntetyzować takie związki. Kolejne badania, w których braliśmy udział, to wielośrodkowe, międzynarodowe próby kliniczne, które potwierdziły nasze wcześniejsze obserwacje, iż najlepsze wyniki uzyskuje się u pacjentów z chorobami drobnych tętniczek, jak w chorobie Buergera. Od tamtego czasu w medycynie nastąpił ogromny postęp w leczeniu niedokrwienia tętniczego za sprawą rozwoju technik wewnątrznaczyniowych, tj. głównie przez angioplastykę („balonikowanie”) i zakładanie stentów (wewnątrznaczyniowych rusztowań) w środku w tętnicach, w miejscach zwężenia tych tętnic. Jednak metody te nie nadają się do zwężeń bardzo drobnych tętniczek i w takiej sytuacji opcją leczniczą pozostaje iloprost – pochodna prostacykliny (lek pod nazwą Ilomedin).

Profesor Gryglewski marzył, aby swoimi pracami naukowymi wpłynąć na los chorych. I tak się stało. Chociaż tętnicze nadciśnienie płucne oraz choroba Buergera nie są częstymi schorzeniami, to pochodne prostacykliny stanowią istotne wsparcie terapeutyczne w tych bardzo ciężkich patologich.

Na fali ogromnej popularności w naszym środowisku akademickim w 1981 roku profesor Gryglewski został rektorem Akademii Medycznej w Krakowie. Pierwszym, który nie był partyjnym nominatem. Do tej pory bowiem przemożny wpływ na obsadę tego stanowiska wywierała uczelniana organizacja partyjna. Jednym z prorektorów profesor Gryglewski mianował profesora Szczeklika, wiceprzewodniczącego Komisji Zakładowej Związku Zawodowego „Solidarność”. Ich kadencja zaczęła się w okresie rozkwitu „Solidarności”, ale w większości wypadła w trudnym czasie stanu wojennego.

Profesor Gryglewski odrzucał szufladkowanie ludzi według przynależności. Szczególnie pozostał mi w pamięci jeden epizod. Profesor Szczeklik na początku kadencji zorganizował u siebie w domu spotkanie nowego rektora z Komisją „Solidarności”. Byłem tam jako członek tej komisji. Nie pamiętam wszystkich uczestników, ale na pewno wśród nich był profesor Zbigniew Chłap. Dyskutowaliśmy, co powinniśmy zrobić, aby nasza uczelnia była lepsza.

Rektor Ryszard Gryglewski sprzeciwił się pomysłem usuwania z uczelni osób tylko dlatego, że należały do partii. Podobnie sprzeciwiał się ingerencji partii. W stanie wojennym władze zrezygnowały z organizowania marszów pierwszomajowych. Dnia 1 maja 1984 roku odbywała się msza święta w Kościele Mariackim, po której podziemna Solidarność zaplanowała pierwszomajowy marsz wokół Rynku Głównego w Krakowie. Po zakończeniu mszy wyszliśmy z kościoła i zaczął formować się pochód. Zobaczyłem profesora Szczeklika i obaj znaleźliśmy się na czele tej manifestacji. Nie niepokojeni, przemaszerowaliśmy wokół Rynku.

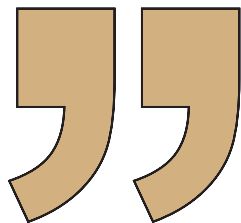
Po utworzeniu rządu premiera Tadeusza Mazowieckiego zostałem poproszony, abym wspomógł swoją osobą nowe ministerstwo zdrowia i zadbał w nim o problemy nauki i kształcenia. Podlegały mi uczelnie medyczne.

Profesor Gryglewski zawsze poszukiwał szczególnie zdolnych, młodych ludzi, którzy chcieliby podzielać jego pasję poszukiwania nowych związków, które mogą stać się lekami i pomóc w walce z różnymi chorobami. W pewnym okresie udało mu się kilku takich energicznych młodych, inteligentnych przyciągnąć. Niestety wszyscy szybko rozjechali się po świecie. Większość trafiła do firm farmaceutycznych. Profesor przez długi czas był tym faktem mocno przygnębiony i chwilami pesymistycznie zapatrywał się na przyszłość badań, które tak udanie inicjował. Ale z czasem zaczął szukać dalej. Jego kolejni uczniowie świetnie sobie w nauce poradzili i dowiedli, że pasja badawcza Profesora przyniosła znakomite rezultaty.

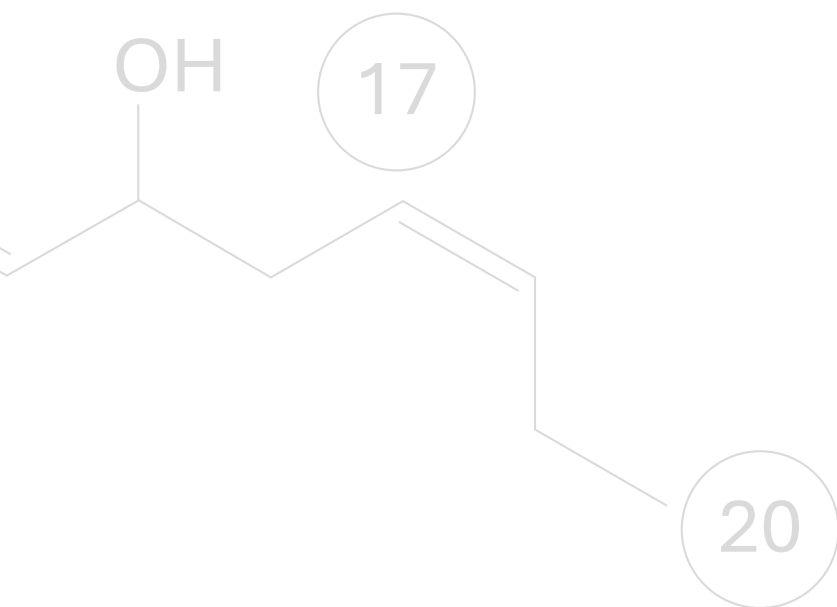
Profesor Ryszard J. Gryglewski był najwybitniejszym spośród naukowców, jakich w życiu miałem szansę poznać.

Prof. dr med. Rafał Nizankowski

SanoScience, Centrum Medycyny Obliczeniowej, Kraków



Zapytałem, czy jakoś możemy określić prawdopodobną dawkę dla człowieka. Wtedy profesor Gryglewski, uśmiechając się i przewracając oczami zapytał, czy aby my nie chcielibyśmy wykonać takiego badania na zdrowych ochotnikach? Zapaliliśmy się natychmiast do tego pomysłu. A czy możemy takie badanie przeprowadzić bezpiecznie? Mamy oddział Intensywnej Terapii, który zapewnia maksimum bezpieczeństwa. Wtedy Ryszard Gryglewski oświadczył: „ja będę pierwszym ochotnikiem”. Na to Andrzej Szczeklik: „to ja po Tobie, Rysiu”. Zgłosiłem swój akces, ale obaj zgodnie uznali, iż ja muszę zadbać o podanie prostacykliny oraz zapewnić maksymalne bezpieczeństwo ochotnikom; jako ostatni mogę położyć się i poddać wlewowi.



**Trzydzieści lat
z Profesorem:
Szefem, Mistrzem,
Przyjacielem**

Moje pierwsze spotkanie z Profesorem – gdzieś wiosną roku 1979 – miało posmak przygody. A było to tak. Jako filolog z biegłą znajomością języka angielskiego nie miałam w czasach słusznie minionych szerokich możliwości wyboru pracy. Szczęśliwie od kilkunastu lat pracowałam wtedy w biurze projektów wykonującym liczne zamówienia eksportowe do krajów takich, jak Egipt, Irak czy Libia, które były przygotowywane w języku angielskim. Miałam więc co robić, środowisko było całkiem sympatyczne, nie skarżyłam się zatem na swój los. Jednak ku końcowi lat siedemdziesiątych XX wieku, u schyłku ery gierkowskiej, zainteresowanie naszymi projektami bardzo osłabło, a ich powielanie czyniło moją pracę arcynudną. Ratowałam się robótkami ręcznymi, a mój kolega sąsiad, architekt, większość czasu spędzał na czytaniu prasy. Pewnego dnia oznajmił: „Mam tu coś dla Ciebie” i podał mi „Dziennik Polski” z ogłoszeniem o tajemniczej treści. Pamiętam je do dziś słowo w słowo: *Naukowiec poszukuje sekretarki naukowej z biegłą znajomością języka angielskiego*. „Pisz – powiedział kolega – idę przez Wiślną, podam ogłoszenie”. Tak zrobiłam.

Ale wkrótce potem, w dniu, w którym usłyszałam w moim telefonie miły męski głos, rozmówca, przedstawivszy się, zaprosił mnie na rozmowę, ogarnęła mnie niezła trema. Wiedziałam, kim jest profesor Ryszard Jerzy Gryglewski i uświadomiłam sobie, że oprócz znajomości języka sekretarka powinna posiadać jeszcze parę innych kwalifikacji, których na pewno nie miałam. Tym niemniej postanowiłam stawić czoła wyzwaniu i w umówionym dniu i o umówionej porze udałam się na ul. Grzegórzecką 16. W pięknym, stylowym gabinecie przyjął mnie bardzo wysoki (a ja mierzę 150 cm wzrostu!), uśmiechnięty pan w kraciatej koszuli i jeansach, kompletnie niezainteresowany moim kierunkiem studiów ani przebiegiem mojej pracy zawodowej. Pokazał mi kilka listów w języku angielskim, powiedział, jak chciałby na nie odpowiedzieć, po czym otworzył drzwi do sąsiadującej z gabinetem biblioteki i poprosił, żebym spróbowała sformułować w jego imieniu odpowiedź. Wzięłam więc od pani z sekretariatu obok kilka kartek papieru, usiadłam i zabrałam się do pracy. Po dłuższej chwili Profesor poprosił mnie do siebie, przeczytał co napisałam, uśmiechnął się i stwierdził: „To jest właśnie to, o co mi chodziło”. Zaczęłam przekonywać Profesora, jak

dalece z usposobienia i braku przygotowania nie nadają się na stanowisko jego sekretarki. Na co Profesor stwierdził, że nie chodzi mu o sekretarkę – jest sekretarka zakładowa, jest bibliotekarka, on zaś potrzebuje kogoś, kto będzie pełnił funkcję „personal assistant”. Cóż, prawdę mówiąc, pierwszy raz wtedy, w ówczesnej siermiężnej Polsce, usłyszałam o takiej funkcji. Rzecz jasna, dałam się przekonać mojemu przyszłemu szefowi.

Profesor wybierał się wtedy na kilka miesięcy do Anglii. Ustaliliśmy, że pozałatwiam wszystkie formalności i zgłoszę się do pracy w Katedrze we wrześniu 1979 roku, na kilka dni przed jego powrotem, żeby zapoznać się z absolutnie dla mnie nowym otoczeniem. Tak się też stało.

Kiedy pojawiłam się w Katedrze u progu jesieni, wprowadziła mnie do zespołu niezapomniana doktor Michalska, „zakładowy anioł” – jak ją określił Profesor – jego koleżanka ze studiów chemicznych, urocza, ciepła i mądra. Poznałam też wiele innych osób, zainteresowanych osobą, która ma odtąd pracować z ich szefem. Zauważyłam też, że Profesor cieszy się szacunkiem i podziwem swoich współpracowników, i że jest przez nich szczerze lubiany. Miałam pracować obok sekretariatu, w bibliotece, z bezpośrednim wejściem do gabinetu Profesora – dla mnie odtąd zawsze dostępnym – przy niewielkim biurczku, przy jednym z ogromnych okien wychodzących na dziedziniec Collegium Medicum – razem z poznaną wkrótce panią bibliotekarką. Z szeregiem osób wtedy poznanych łączy mnie do dziś serdeczna przyjaźń.

Po tygodniu wrócił Profesor i zaczęła się codzienna praca, w absolutnie odmiennym dla mnie trybie w porównaniu z tym, jak pracowałam dotychczas. Wkrótce odczułam, jak bardzo odpowiada mi ten sposób pracy. Profesor był bardzo wymagającym zwierzchnikiem, ale posiadał niezwykłą umiejętność przekazania, czego oczekuje i jak pilnie – zwykle natychmiast. Po czym kompletnie przestawało go interesować, jak jego polecenie będzie realizowane, pod warunkiem że zrealizowane będzie. Czasem w trakcie wykonywania jakiegoś zadania dostawałam dyspozycję, że mam jeszcze pilniej zająć się czymś zupełnie innym, co nie oznaczało, że poprzednia sprawa przestawała być aktualna. W tej sytuacji mój brak przygotowania do pełnienia funkcji sekretarki okazał się

kompletnie nieistotny. To był mój problem; uczyłam się więc od mojego niezwyklego Szefa, w trochę oparty na jego metodzie sposób, organizowania swojej pracy. Zamawianie połączeń telefonicznych, na które w owych czasach czekało się nieraz cały dzień – było to zadanie jako sekretarki; poszukiwanie źródeł, artykułów, publikacji, zamawianie ich, prenumerata licznych czasopism naukowych – jako bibliotekarki; odbiór zamówionych publikacji czy materiałów – jako gońca itd. I wszystko funkcjonowało znakomicie! Wiele mnie to nauczyło, ale w ślad za moim Szefem stałam się osobą raczej niecierpliwą i taka jestem do dziś...

Osobnym aspektem kształtującej się coraz lepiej mojej współpracy z Profesorem było coś, co dla niego stanowiło jedno z najistotniejszych oczekiwań w stosunku do mnie.

Profesor był zdecydowanie perfekcjonistą. Szczególnie w stosunku do siebie. Pisał znakomicie po angielsku: jasno, zrozumiale i poprawnie – ale chciał, by jego teksty były wyczelowane pod względem stylu i doboru słownictwa. Gwarantem, że to zostanie osiągnięte miałam być ja. I tu zaczyna się moja fascynacja osobą i talentem Mistrza.

Niezależnie od tego, że zawsze bardzo interesowała mnie medycyna, a nawet chciałam ją studiować, jestem filologiem i moja wiedza dotycząca kwestii medycznych była oględnie mówiąc znikoma. Kiedy zatem Profesor dawał mi znakomite teksty, żebym je, o zgrozo, poprawiała, stawiało mnie to w trudnej sytuacji. Wchodziłam więc do gabinetu i tłumaczyłam Szefowi, że nie mogę pastwić się nad świetnym tekstem, nie w pełni go rozumiejąc. I wtedy mój Szef z ogromną cierpliwością i cudownie zrozumiale po prostu uczył mnie farmakologii, medycyny, otwierał moje horyzonty na bogactwo metod badawczych, ogrom wiedzy, tradycji i historii, ciekawych postaci z dziejów rozwoju nauk medycznych – ale i współczesnych nam ludzi, którzy te dzieje tworzą – przeważnie jego współpracowników i przyjaciół. To były prawdziwe studia podyplomowe, dzięki którym do dziś baczniej obserwuję i lepiej postrzegam świat.

Profesor miał niewiarygodny talent i umiejętność przekazywania wiedzy, trafiania do umysłu, ale i do wyobraźni. Niezwykle serio traktował swoją misję – bo z pewnością tak podchodził do swoich obowiązków dydaktycznych. Ten, przez długi czas na co dzień



Zakład Farmakologii Akademii Medycznej w Krakowie, gabinet Profesora

chodzący w jeansach i flanelowej koszuli w kratę pan, kiedy miał wykład – dla studentów, słuchaczy uniwersytetu trzeciego wieku, uczestników konferencji naukowej będącej zarazem spotkaniem towarzyskim – ubierał się w każdym szczególe elegancko i reprezentacyjnie, jak gdyby chciał przekazać słuchaczom, że obcowanie z nauką jest przywilejem, wyróżnieniem, które należy celebrować.

Pamiętam do dziś, jak wychodziliśmy razem z wykładu Profesora w małej Auli PAN z naonczas adiunktem w Katedrze Farmakologii, dziś jej kierownikiem – profesorem Rafałem Olszaneckim. Powiedział on do mnie: „Pani Mario, nasz Profesor jest chyba jednym z ostatnich tak fascynujących wykładowców”. Z pewnością miał rację.

Przypomina mi się pewna zabawna historia. Do niespecjalnie ulubionych obowiązków Profesora należało uczestniczenie w posiedzeniach Rady Wydziału Lekarskiego, jeszcze wtedy Akademii Medycznej. Profesor udawał się na nie na ogół z Katedry, z Zakładu, jak mawialiśmy; jego toga i biret, gotowe zawsze na tę okazję, wisiały w stylowej szafce w jego gabinecie. Któregoś dnia, kiedy i ja, i pani bibliotekarka siedziałyśmy przy swoich biurkach pogrążone w pracy, otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Profesor w birecie, w todze, której rozchylone poły ukazywały jeansy, skrawek flanelowej koszuli w kratę, kolorowe wełniane skarpety i buciska – tzw. trapery, i z całą powagą zapytał: „Jak panie myślicie, mogę tak pojechać na Radę Wydziału?”. Na co obie zachowałyśmy się okropnie: wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem!

Profesor posmutniał i odparł: „Rozumiem. Muszę jechać do domu przebrać się”. Co też uczynił.

Codziennosc u boku profesora Gryglewskiego też była niezwykła i inspirująca. Jej początki przypadły na trudne, niekiedy mroczne czasy lat osiemdziesiątych XX wieku, strajków, stanu wojennego i niosły nieoczekiwane wyzwania dla wszystkich. Działalność naukowa Katedry, jej szefa i zespołu nie byłyby tak owocne, gdyby nie autorytet i pozycja naukowa Profesora. Był powszechnie znany w świecie nauki jako współodkrywca prostacykliny (rok 1976), hormonu naczyniowego, z którym niebezpiecznie wiązano ogromne nadzieje. Dlatego też najwybitniejsi przedstawiciele świata nauki w Polsce i za granicą akcentowali

mocno swoje wsparcie i wolę utrzymania ścisłych kontaktów naukowych z Profesorem i jego Katedrą. W rezultacie tego wsparcia ówczesne, mocno związane z ich partyjnymi mocodawcami władze uczelni bardzo się liczyły z osobą Profesora. Dzięki temu jego szerokie kontakty z elitą farmakologii światowej pozwalały uzyskiwać pomoc i utrzymać współpracę z najważniejszymi ośrodkami naukowymi Europy i Stanów Zjednoczonych tak w zakresie organizacji i ciągłości badań naukowych w Katedrze, jak i możliwości szkolenia oraz doskonalenia jej kadry naukowej. Dla mnie oznaczało to obfitość korespondencji, organizację licznych wizyt i spotkań z bardzo interesującymi ludźmi, gośćmi Katedry z wielu ośrodków zagranicznych, towarzyszenie ich żonom, a niekiedy i dzieciom w spacerach po Krakowie i staraniu się, aby ich pobyt uczynić możliwie atrakcyjnym. Miałam w tym ogromną i sprawną pomoc zarówno sekretariatu Katedry, jak i wielu kolegów. Muszę przyznać, iż po raz pierwszy w życiu czułam, że znalazłam się naprawdę na właściwym dla mnie miejscu; dla filologa w owych czasach oznaczało to życiowy sukces!

Ale najważniejszym i najbardziej interesującym elementem tej codzienności był kontakt z Profesorem, poznawanie jego osobowości, sposobu myślenia, swoistego poczucia humoru, trafności ocen i nieprawdopodobnych horyzontów: tej niedocenianej na ogół, a niezwykle ważnej składowej działania uczonego, jaką jest wyobraźnia.

Profesor przekonania miał raczej konserwatywne, i tu niekiedy różniliśmy się w ocenach i poglądach. Wtedy ulubionym jego powiedzeniem pod moim adresem było: „Zawsze zdumiewa mnie, pani Mario, jak osoba tak inteligentna jak pani (!) może być tak naiwna”. To było na swój sposób wzruszające, bo przy wielkiej mądrości Profesora cechowała też pewnego rodzaju naiwność: ogromne zaufanie do ludzi, które niestety niejednokrotnie zostało boleśnie zawiedzione. Konserwatywne poglądy nie przeszkadzały zupełnie zapałowi, z jakim Profesor podążał za dość wówczas szybko postępującymi w świecie nowinkami technologicznymi, z którymi zapoznał się w czasie swoich licznych pobytów naukowych za granicą, i które z zapałem starał się adaptować w Katedrze. Tu napotykał niekiedy żywy, choć na ogół nieracjonalny opór z mojej strony, typowy dla mego pokolenia humanistów lęk przed nowymi technologiami. Zaczęło się od cudownej i stanowiącej chwilowy szczyt



Profesor
w stroju
rektorskim

osiągnięć techniki biurowej elektrycznej maszyny do pisania przywiezionej z Anglii, którą zaprezentował mi z dumą, gdy zaczynałam pracę. Pisanie na maszynie nie było moją mocną stroną, dlatego nie protestowałam. Maszyna była cudowna, pozwalała na szybkie dokonywanie poprawek i dość szybko się z nią zaprzyjaźniłam. Potem była chwila absolutnie niepodzielnego przeze mnie entuzjazmu dla dyktafonu, na szczęście szybko przeminęła. Ale kiedy zaczęła się era komputerów, którą Profesor przywitał z wielką radością i zażądał ode mnie, bym nauczyła się z komputera korzystać, podniosłam stanowczy protest. „Nie, Panie Profesorze, zdecydowanie nie. Pracuję dla Pana praktycznie w trzech językach, tłumaczę a vista, uczę się farmakologii, ale tego uczyć się nie będę”.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Profesor przyjął mój protest do wiadomości. Podobno poskarżył się swojej przyjaciółce, doktor Michalskiej, że nie podejrzewał mnie o taki temperament, ale przez chwilę nie powracaliśmy do tego tematu.

Sprawę rozstrzygnął wkrótce los w postaci dobrego przykładu mądrej pani bibliotekarki, która pokazała mi, jak szybko i łatwo pracuje się na komputerze nad tekstem, co skłoniło mnie do zapoznania się z tym nowym narzędziem pracy. Jak ogromnie przydała się ta umiejętność w latach późniejszych, gdy zaczęła działać założona przez Profesora w roku 1992 Fundacja JMRC, gdy zaczęła funkcjonować poczta email, nie ulega kwestii.

Kiedy Profesor przywiózł do Katedry jeden z pierwszych chyba wówczas w Krakowie faksów, też zaczęła się niejako nowa era, bo niemal w tym samym czasie nastąpiła transformacja ustrojowa i doszło do zniesienia cenzury. Pamiętam, że dzwoniły do mnie panie z ówczesnego Ministerstwa Zdrowia prosząc o przesłanie wiadomości do różnych krajów Europy, jako że w Ministerstwie jeszcze wtedy nie było faksów lub jeszcze ich nie używano.

Wielką zmianą w moim dość monotonnym dawniej na co dzień życiu tłumacza stały się regularne i częste spotkania naukowe, w których Profesor i jego zespół byli centralnymi postaciami. W pierwszych latach mojej pracy w Katedrze były to organizowane regularnie co kilka lat ogólnopolskie zjazdy Polskiego Towarzystwa Farmakologicznego (PTF). Towarzyszyły im tak zwane sympozja satelitarne, odbywające się w gronie zaproszonych gości w różnych ciekawych miejscach w Polsce. Pierwszym takim

doświadczeniem było dla mnie sympozjum w Szczawnicy po zjeździe PTF w Poznaniu (w październiku 1979 roku).

Już podróż autokarem z Poznania na miejsce przeznaczenia była nowym i ciekawym przeżyciem. Atmosfera była swobodna, wesoła; czułam, że będzie to spotkanie dobrze się znających i lubiących przyjaciół, których powoli zaczynałam poznawać, także dzięki pomocy kolegów. Popas po drodze na górskiej polanie Kozubnik był czymś nieoczekiwanym dla mnie w tych szarych i biednych latach. Było to barwne i wystawne przyjęcie na tle pięknej górskiej przyrody, zorganizowane z rozmachem (i zapewne wielkim kosztem) przez mocno partyjnego włodarza uzdrowiska w Szczawnicy. Taka była wtedy lokalna polityka partyjna, po prawdzie wymarzona dla środowiska naukowego, przy jego ograniczonych możliwościach i środkach.

Wymianie myśli, osiągnięć i doświadczeń naukowych towarzyszyły niekończące się, ciekawe rozmowy na wiele tematów, uroczy wieczorne biesiady przy muzyce (tu prym wiódł niezapomniany wielki przyjaciel i współpracownik Profesora, znakomity uczonek i klinicysta profesor Andrzej Szczeklik, skądinąd mój kolega ze Średniej Szkoły Muzycznej w Krakowie) oraz spacer po bajecznej okolicy. Dzięki przyjaznej atmosferze, a nade wszystko cudownej żonie i koleżance Profesora ze studiów chemicznych, doktor Teresie Gryglewskiej, poznałam ludzi, korzenie ich relacji i przyjaźni z Profesorem, a także najistotniejsze problemy budowanej przez wiele lat współpracy naukowej.

Wśród kolejnych zjazdów PTF i towarzyszących im sympozjów satelitarnych niezapomniane dla mnie jest tzw. Sympozjum Noblowskie z 1983 roku. To był czas trudny po wydarzeniach roku 1980 i stanie wojennym w Polsce, ale i owocny po przyznaniu Nagrody Nobla w roku 1982, kiedy laureatami zostali odkrywcy prostaglandyn Sune Bergström i Bengt Samuelsson (Szwedzi) i John Robert Vane (Brytyjczyk o kresowych korzeniach), od momentu otrzymania nagrody sir John Vane, odkrywca mechanizmu działania aspiryny i współodkrywca prostacykliny, osobisty od wielu lat przyjaciel Profesora i wielki przyjaciel Polski.

Profesor Gryglewski był wtedy rektorem, a profesor Szczeklik prorektorem Akademii Medycznej w Krakowie i na każdym kroku musieli stawiać czoła trudnościom, jakie piętrzyły przed nimi niechętnie komunistyczne władze. Międzynarodowa skala i ranga planowanego

spotkania naukowego, zaproszeni goście – wszyscy trzej laureaci i ich współpracownicy – były tak imponujące, że na ten czas nie tylko odstąpiono od wszelkich szykan i ograniczeń, ale okazano daleko idące poparcie i pomoc, a nawet zapewniono udział wielu liczących się postaci z uprzywilejowanych warszawskich elit naukowych.

Nie wszyscy zaproszeni goście odważyli się przyjechać do ówczesnej Polski. Ale nazwiska tych, którzy przybyli nadały rangę temu wydarzeniu i opromieniły wspomnienie o nim. Wspaniałym zwieńczeniem krakowskiego spotkania było zaaranżowane z rozmachem (znów przy ogromnym wsparciu wojewódzkich władz partyjnych, zabiegających wtedy o otwarcie filii krakowskiej Akademii Medycznej w Rzeszowie) spotkanie wszystkich uczestników Sympozjum Noblowskiego na Zamku w Łańcucie. Była zatem konferencja naukowa w salach Zamku, obiad w jego ogromnej sali jadalnej i jakże atrakcyjna dla gości przejażdżka po wspaniałym łańcuckim parku historycznymi powozami. Zaś na koniec tych niezapomnianych przeżyć – wycieczka w Bieszczady do uzdrowiska Polańczyk, urokliwy rejs statkiem po jeziorze i bajkowe ognisko w tak radosnej atmosferze, że długo nikt nie chciał się udać na spoczynek, a pewien uczestnik imprezy zasnął na ławie przy ognisku tak głęboko, że z trudem udało się go dobudzić rano, kiedy nastała pora, by wsiąść do autokaru i ruszyć w podróż powrotną do Krakowa.

Trzeba koniecznie podkreślić ważne aspekty kształtowania się w ciągu wielu lat podstaw tak owocnych naukowo, a równocześnie serdecznych więzów współpracy i przyjaźni. To właśnie Profesor i jego żona tworzyli tę niezwykłą, ciepłą aurę, dzięki której ludzie nauki – współpracownicy i goście, ci wielcy i ci początkujący jej adepci – czuli się swobodnie i twórczo zainspirowani czy to w toku wykładów i naukowych dyskusji, czy też spotkań towarzyskich. Okazało się to jednym z bardzo istotnych czynników powodzenia ogromnie ważnej inicjatywy Profesora. W 1992 roku z jego inicjatywy, z wykorzystaniem doświadczenia sieci naukowych działających w tzw. starej Unii Europejskiej, powstała Fundacja Jagiellońskie Centrum Badań Medycznych (JMRC – od pierwszych liter angielskiej nazwy tej organizacji – Jagiellonian Medical Research Centre). Do inicjatywy tej dołączyli Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor Aleksander Koj, dyrektor Katedry Alergii i Immunologii Akademii

Medycznej, profesor Andrzej Szczeklik i dyrektor Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie – profesor Jerzy Maj ze swoimi zespołami naukowymi. Możliwości finansowe rozwinięcia tej działalności były na wstępie bardzo ograniczone, ale autorytet naukowy założycieli Fundacji i zainteresowanie ich zagranicznych partnerów naukowych, a także wchodzących wtedy na polskie rynki znanych firm farmaceutycznych z całej Europy i świata, otwierało dobre perspektywy realizowania podstawowych zadań Fundacji. A zadania te były następujące: organizowanie współpracy placówek naukowo-badawczych zajmujących się badaniami podstawowymi i tworzeniem wytycznych dla powstawania substancji leczniczych do produkcji leków w zakresie chorób krążenia, reakcji zapalnych i ogólniej farmakologii śródbłonna naczyniowego. W owych czasach, jakże dalekich od wszechobecnej komputeryzacji, konferencji i obserwacji procesów oraz operacji online, nie mówiąc o wykorzystaniu technologii AI, stworzenie stałej sieci wymiany wyników badań naukowych i rozwoju metod badawczych instytucji pracujących w obrębie tej samej dziedziny farmakologii było znaczącym krokiem naprzód.

Fundacja umożliwiła ożywienie wymiany naukowej, zorganizowanie pobytu młodym obiecującym adeptom nauki w przodujących ośrodkach naukowo-badawczych, zaoferowanie im skromnych stypendiów naukowych, przygotowywanie wykładów we współpracy z Polską Akademią Nauk w Krakowie, a także organizowanie w dość regularnych odstępach czasu międzynarodowych sympozjów o światowym zasięgu, poświęconych przedstawieniu i wymianie wyników badań poszczególnych ogniw tej sieci. Na tym zupełnie nowym polu działalności Profesora i jego pełnych zapału współpracowników powstawała wspaniała wieloletnia tradycja, której pamięć trwa do dziś.

W tym barwnym paśmie wspomnień niezapomnianych chwil mój skromny, ale nieprzerwany i bardzo czynny udział – najpierw jako asystentki Profesora, przewodniczącego Rady Fundacji, w późniejszych latach członka Zarządu Fundacji do roku 2017 – był nieustającą kontynuacją przygody mego życia, zapisaną pamięcią wielu wspaniałych momentów i niezwykłych postaci; uświadomieniem wskazań, jak tworzyć historię określonej gałęzi nauki, ale też, jak doceniać znaczenie umiejętności budowania podstaw owocnej międzyludzkiej



Wybory rektora
Akademii Medycznej
w Krakowie (1981)

Kraków 8. VI. 1981

współpracy. Nieocenionymi atutami w tym obszarze działań Profesora byli na każdym kroku jego żona, a także pełni oddania ludzie z jego otoczenia.

Aby podkreślić pełnię zaangażowania Profesora we wszystko, co robił i pełne zrozumienie, lojalność oraz wsparcie jego małżonki, nie mogę nie wspomnieć o zdarzeniu, które miało miejsce wiele lat później, w roku 2003, podczas uroczystego sympozjum poświęconego uczczeniu setnej rocznicy wynalezienia aspiryny i odkrywcy mechanizmu jej działania sir Johna Vane'a, uświetnionego przez najbardziej znaną do dziś firmę produkującą aspirynę – firmę Bayer, współorganizatora sympozjum. Nie wiedzieliśmy wówczas, że była to ostatnia wizyta sir Johna w Polsce. Wielki przyjaciel naszego kraju i bliski osobisty przyjaciel Profesora zmarł bowiem w roku 2004.

Ja jednak chciałabym wspomnieć o zdarzeniu, które zrobiło ogromne wrażenie nie tylko na mnie, ale na wszystkich z otoczenia Profesora i po raz kolejny pokazało światu jego niezwykłą osobowość i oddanie nauce.

Byliśmy niejako przyzwyczajeni, że dość często wybitne uniwersytety i placówki naukowe nadawały naszemu Szefowi tytuły doktora honoris causa, że organizacje, stowarzyszenia naukowe obdarzały go zaszczytnymi tytułami, dyplomami czy nagrodami naukowymi – ale to wydarzenie miało szczególną rangę. Mówię o nagrodzie pieniężnej znanej firmy farmaceutycznej Yamanouchi, której przedstawiciel wręczył Profesorowi jej dyplom na uroczystej premierze opery Krzysztofa Pendereckiego „Król Ubu” w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, uświetniającej nasze specjalne Sympozjum Bayerowskie.

To była jak na owe czasy i nasze warunki bardzo wysoka kwota pieniędzy. Bez wątplenia zapewniała Profesorowi i jego bliskim dostatnie życie na wiele lat. I tu profesor Gryglewski pokazał, jakie znaczenie w jego życiu ma miłość do nauki, pasja i poczucie misji. Całą tę sumę przeznaczył na działalność i rozwój Fundacji. Przez wiele kolejnych lat Fundacja prowadziła bardzo ożywioną aktywność we wszystkich wyznaczonych statutem kierunkach. Bez tego kapitału dalsza działalność Fundacji nie mogłaby się rozwijać tak wszechstronnie i efektywnie.

Jeśli chodzi o mnie, to większość moich obowiązków dotyczyła ogółu obszaru public relations, a w tamtych czasach w Polsce było to zadanie skomplikowane na różne sposoby, od organizacji pobytu i podróży zaproszonych gości, zapewnienie spotkaniom właściwego i sprawnego przebiegu konferencji, po atrakcyjność wspólnych posiłków i okazji towarzyskich. Program naukowy kolejnych sympozjów i dobór najznakomitszych wykładowców z całego świata był rzeczą jasną domeną Profesora i członków Rady Naukowej Fundacji. Konstrukcja programu socjalnego, pod egidą i z bezcennym doradztwem pani doktor Gryglewskiej, należał do Zarządu. Dzięki sprawnej i życzliwej współpracy wielu instytucji i ludzi, autorytetowi Profesora i randze nazwisk zaproszonych gości – laureatów Nagrody Nobla, odkrywców, pionierów nowatorskich metod badań i leczenia – sympozja Fundacji JMRC, organizowane nie tylko w Krakowie, zawsze były ogromnym sukcesem i przeżyciem naukowym oraz towarzyskim.

Było zwiedzanie Krakowa i prezentowanie jego nieprzebranych skarbów ludziom z dalekich krajów, były spacerunki w górach i koncerty na Wawelu, były inspirujące dyskusje. Wspominam te lata jako najciekawszy okres mojego życia właśnie ze względu na niezwykle ludzi, których poznałam. Do dziś niektórych z nich uważam za swoich przyjaciół.

Oprócz spotkań naukowych, wykładów dla personelu i studentów, sympozjów, przygotowywania materiałów do publikacji i prezentacji Fundacja od początku swej działalności realizowała jedno z wielu ważnych zadań, dla których została utworzona: ideę Profesora stworzenia warunków do kontaktu z osiągnięciami światowej farmakologii dla adeptów tej nauki z krajów byłego Związku Sowieckiego, uczonych z Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i Białorusi. Zapraszano ich do udziału w sympozjach i spotkaniach naukowych, Profesor zabiegał o organizowanie dla nich pobytów naukowych w Katedrze, w ramach skromnych możliwości starał się dla nich o pomoc formalną i finansową. Do dzisiaj utrzymują się nici nawiązanych wtedy kontaktów i przyjaźni. Nie sposób przecenić pomocy, jaką w każdym aspekcie okazywał tym ludziom Profesor i jak bardzo rozumiał trudności, jakie napotykały, by móc realizować swe naukowe marzenia i ambicje.



Ryszard Gryglewski z profesorem Andrzejem Szczeklikiem

Profesor bywał też często gościem w macierzystych uczelniach i placówkach naukowych gości, z których do nas przyjeżdżali. Niezapomnianym przeżyciem dla kilkunastu osób z Katedry, najbliższych współpracowników Profesora, do których miałam szczęście należeć, był kilkudniowy pobyt z Profesorem i jego żoną na Ukrainie, na zaproszenie Lwowskiego Uniwersytetu Medycznego im. Daniły Halickiego. Uniwersytet ten w roku 2001 nadał Profesorowi tytuł doktora honoris causa za całokształt osiągnięć naukowych i budowanie tak ważnych dla tej uczelni więzów współpracy. Oprócz sympatycznej i wzruszającej uroczystości wręczenia zaszczytnego tytułu gospodarze nie tylko zagwarantowali nam bardzo dobre warunki pobytu, ale też zapewnili możliwości zwiedzania najciekawszych miejsc już wtedy pięknie odrestaurowanego Lwowa, ale i pełne ciepła i serdeczności spotkania. W ostatnim dniu pobytu spędziliśmy wieczór w towarzystwie ukraińskich przyjaciół, a potem we własnym gronie w niezwykle miłej atmosferze, wymieniając poglądy na temat warunków budowania zgranego zespołu, owocnej współpracy i znaczenia, jakie dla takiego zespołu ma obecność i osoba Mistrza. Z pewnością nikt z nas nie miał cienia wątpliwości, o jakim zespole i którym wcieleniu postaci Mistrza rozmawiamy. Nie zdawaliśmy sobie chyba sprawy z tego, za jak niewiele lat ten idealny w naszym odczuciu model nieuchronnie zacznie się zmieniać, jak też zmianom ulegnie stopniowo proces, który można by niezdarnie nazwać „robieniem nauki”.

Kolejne lata działalności Katedry i Fundacji przyniosły nowe wyzwania, nowe sytuacje i nowe realia, ale cele i kierunki działania pozostawały te same i były nadal realizowane. Przewodniczącym Rady Fundacji został w roku 2004 profesor Stefan Chłopicki, ale profesor Ryszard J. Gryglewski był nadal jej duszą i honorowym przewodniczącym.

Ostatnie sympozjum zorganizowane z inicjatywy i pod egidą Profesora miało miejsce w roku 2009; w piątą rocznicę śmierci sir Johna Vane’a, i było wzruszającym spotkaniem jego współpracowników, jego małżonki i jednej z córek oraz uczniów – wszystkich, którzy go pamiętali i spędzili u jego boku najbardziej twórcze chwile swego życia, co we właściwy jedynie dla niego sposób przypomniał Profesor. Spotkanie odbyło się w urzekającym otoczeniu – w pięknych salach Collegium Maius, co poprzedziła moja zwycięska

batalia z dyrektorem Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego z siedzibą w Collegium Maius – profesorem Stanisławem Waltosiem. Dyrektor za nic nie chciał się zgodzić na odbycie konferencji w salach Muzeum, twierdząc że stare stropy nie wytrzymają obciążenia takiego tłumu. Przekonywałam go dość długo, że tych wielce szacownych osób nie będzie zbyt wiele. W końcu się zgodził i machnąwszy ręką stwierdził: „gdzie diabeł nie może...” Spotkanie pełne wzruszających wspomnień zwieńczyła uroczysta kolacja w reprezentacyjnej sali Collegium.

Nie wiedziałam wtedy, że nieomal nazajutrz po tym wielkim dla nas wszystkich przeżyciu Profesor za moim pośrednictwem przekaże Radzie Fundacji pismo, w którym rezygnuje z funkcji Honorowego Przewodniczącego Rady Fundacji, i co gorsza z dalszego swego udziału w pracach Fundacji.

Nie mogłam się pogodzić z tą decyzją, mimo iż w dużej mierze rozumiałam jej przyczyny. Wielokrotnie prosiłam Profesora, by zechciał swą decyzję przemyśleć, żeby ją cofnął. Nie udało mi się go przekonać i bardzo tego żałuję. Nie wiedziałam też, nikt tego nie wiedział, że za kilkanaście lat inny memoriał przyjdzie nam celebrować w pięknych salach Collegium Maius...

Przez długi czas nie umiałam się pogodzić z tym nieoczekiwanym, nagłym odejściem Profesora z Fundacji, której był nie tylko współtwórcą, ale i inspiracją. Dziś zdaję sobie sprawę, że już dużo wcześniej niż my zrozumiał przemiany zachodzące w metodologii i procesach realizacji badań naukowych, ich nieuchronność i kierunki rozwoju, ale się z nimi wewnątrznie i emocjonalnie nie godził. Rozumiem też lepiej, jak trudna musiała być dla niego ta decyzja. Wiem, że na pewno przeżył ją też głęboko emocjonalnie i długo trwało potem jego dochodzenie do równowagi. Z naszych późniejszych rozmów – jako że do końca życia Profesora utrzymywałam z nim i jego żoną żywy kontakt – wynikało, że tę równowagę osiągnął, w nas wszystkich jednak jego przedwczesne odejście budziło zawsze wewnętrzny sprzeciw.

Następca kontynuował jego dzieło. Wkrótce jednak kolejno odeszli niezapomniani współtwórcy Fundacji i członkowie jej Rady Naukowej: profesorowie Koj, potem Szczeklik. Kontynuowałam pracę jako członek Zarządu Fundacji aż do roku 2017, do jubileuszowego

25. Sympozjum JMRC, ale nie ukrywam, iż mimo wielu wspaniałych chwil i uroczych spotkań osobiście mnie – i myślę, że nie tylko mnie – brakowało właśnie tego ducha, tej wynikającej z niezwyklej osobowości Profesora inspiracji dla nas wszystkich, którzy mieliśmy szczęście z nim pracować.

Gdy po latach patrzę z perspektywy długiego okresu współpracy z Profesorem na jego postać sądzę, że oprócz niezwyklego talentu odkrywcy i pasji uczonego dominowały w jego osobowości dwa bardzo ważne elementy: powołanie do przekazywania wiedzy i zarażania pasją naukową oraz głębokie przywiązanie do podstawowych wartości na równi z wielką umiejętnością nawiązywania prawdziwych przyjaźni. Profesor miał kilku przyjaciół, z którymi żywy kontakt utrzymywał przez całe życie, w każdych okolicznościach demonstrując nie tylko prawdziwe przywiązanie, ale i niepodważalną lojalność. Na pewno najbliżsi z nich to byli wybitni ludzie i znakomici uczeni, jak sir John Vane, profesor Jack McGiff, całe życie w każdym znaczeniu tego słowa – profesor Andrzej Szczeklik, postaci nie tylko niezwykle, ale pełne indywidualnego uroku. Przyjaźń, lojalność i zaufanie, na które zresztą w pełni zasłużyli, okazywał im Profesor do końca ich życia. Ich odejście pozostawiło ogromną lukę w jego życiu i niewątpliwie budziło poczucie samotności, mimo ogromnego przywiązania i miłości Profesora do rodziny i pełnego jej oddania.

I ja miałam szczęście cieszyć się przyjaźnią i zaufaniem Profesora, co było dla mnie inspiracją i honorem, ale też w kilku kryzysowych i trudnych chwilach mojego życia dało mi nie tylko nieocenioną podporę, ale również pomoc dzięki jego mądrym i serdecznym radom. Nigdy o tym nie zapomniałam i pewnie dlatego, mimo upływu wielu lat, trudno mi unikać bardzo osobistego tonu we wspomnieniach o Profesorze.

Wiedziałam o pogarszającym się stanie jego zdrowia. Byłam przez te wszystkie lata w stałym i serdecznym kontakcie z jego żoną i synem. A jednak kiedy uderzyła we mnie i w nas wszystkich z jego kręgu, z końcem stycznia 2023 roku, wiadomość o jego śmierci – trudno było się z nią pogodzić. Był pogrzeb, oficjalny z przemówieniami rektoratu i jego następców, pełnymi żalu i wspomnień jego najważniejszych naukowych i życiowych osiągnięć. Był potem pogrzeb już nieoficjalny, w obecności rodziny, najbliższych przyjaciół

i pracowników, przepełniony smutkiem i poczuciem wielkiej straty, ale nadal nie byłam w stanie do końca uświadomić sobie, jaki rozdział również i mojego życia został zamknięty. Na prośbę żony Profesora byłam jakiś czas zajęta nieoficjalną korespondencją z jego wieloletnimi przyjaciółmi, współpracownikami, uczniami, segregowaniem pewnych pozostałych po nim w moim posiadaniu materiałów: fotografii, kopii publikacji czy listów i przekazywaniem ich żonie oraz rodzinie.

Fakt, że Profesora z nami nie ma uświadomiłam sobie kilka miesięcy później, u progu czerwca 2023 roku, kiedy pod egidą jego następców – kierownika Katedry profesora Rafała Olszaneckiego i przewodniczącego Rady Fundacji JMRC – profesora Stefana Chłopickiego zostało zorganizowane jednodniowe sympozjum – Memoriał poświęcony pamięci i dorobkowi naukowemu Profesora Ryszarda Jerzego Gryglewskiego. Uczestniczyli w nim uczeni z całego świata, którzy towarzyszyli badaniom i działalności Profesora od początków jego pracy w Katedrze z czasów, których nawet ja nie pamiętałam.

Niezwykłe od pierwszej do ostatniej chwili spotkanie odbyło się znów w majestatycznej sali Collegium Maius. Oprócz uczonych obecni byli niezycząca już żona sir Johna Vane'a, lady Daphne, moja wielka przyjaciółka, która wygłosiła wzruszającą mowę, najbliższa rodzina Profesora, a także ludzie współpracujący z nim w ostatnich latach jego działalności.

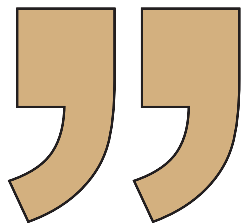
Po konferencji, w bardzo już ścisłym gronie, zebraliśmy się na kolacji, której serdeczna i swobodna atmosfera przypominała nasze dawne niezapomniane spotkania. Kiedy już na koniec tej biesiady staliśmy kołem na środku lokalu nie mogąc się rozstać, zrozumiałam sens znanego powiedzenia, że człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim.

Pomyślałam też, jak to dobrze, iż nasz Profesor zostanie na zawsze w historii medycyny, tej naszej znakomitej krakowskiej i tej coraz bogatszej – światowej.

Jestem szczęśliwa, że dane mi było być przy Nim na co dzień przez tak wiele lat.

Maria Chechlińska

Katedra Farmakologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum
Była Członkini Zarządu Fundacji „Jagiellońskie Centrum Badań Medycznych”



Gdy po latach patrzę z perspektywy długiego okresu współpracy z Profesorem na jego postać sędzę, że oprócz niezwykłego talentu odkrywcy i pasji uczonego dominowały w jego osobowości dwa bardzo ważne elementy: powołanie do przekazywania wiedzy i zarażania pasją naukową oraz głębokie przywiązanie do podstawowych wartości na równi z wielką umiejętnością nawiązywania prawdziwych przyjaźni.

**Jak pamiętam
mojego mentora
– profesora
Ryszarda J. Gryglewskiego**

W 1989 roku, zdając maturę i wybierając się z niewielkiego Tarnobrzegu na studia lekarskie do Krakowa, nie mogłem przewidzieć, jak potoczy się moja przygoda z medycyną, a już na pewno nie spodziewałem się, że architektem moich zawodowych losów będzie profesor Ryszard J. Gryglewski. Pamiętam, jak bodajże pod koniec pierwszego roku studiów wpadł mi w ręce artykuł opublikowany w jakimś medycznym periodyku – wywiad z Profesorem, opatrzone Jego zdjęciem, z którego z lekkim uśmiechem i jakby łagodnym oczekiwaniem wpatrywał się w czytelnika. Zaintrygowały mnie Jego szczere i niesztampowe odpowiedzi na dość typowe pytania, a zwłaszcza ta, kiedy poproszony o wymienienie najważniejszych cech kandydata na medyka wskazał na pierwszym miejscu ciekawość i chęć zrozumienia, jak działa organizm w zdrowiu i chorobie. Inne przesłanki wyboru studiów lekarskich, tak oczywiste dla wielu młodych ludzi, jak „chęć pomocy innym w nieszczęściu” czy „znalezienie panaceum na trapiące ludzkość choroby”, wydawały mu się mniej ważne. Trzy lata później przypomniałem sobie ten artykuł i zdjęcie, siedząc naprzeciwko Profesora na egzaminie ustnym z farmakologii.

Zajęcia z farmakologii (wówczas prowadzone na czwartym roku studiów) robiły na studentach duże wrażenie. Wykłady kierownika Katedry, głównie poświęcone autokoidom lipidowym, były trudne, ale wpajały nam, że farmakologię i medycynę ogólnie warto rozumieć, a więc najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: *dlaczego* lek działa tak, jak działa. Taki przekaz otrzymywaliśmy także na ćwiczeniach, na których młodzi asystenci pojawiali się w sali seminaryjnej Katedry, mieszczącej się w zabytkowym budynku przy ul. Grzegórzeckiej, z nienacka wychodząc z „szafy”. Żartowaliśmy, że z Narni – często zresztą w niej na powrót chwilami znikając – bo gdzieś tam toczył się przecież ważny eksperyment. Dużo później sam poznałem ten malowniczy „łącznik pomiędzy dydaktyką i nauką”.

O farmakologii przypomniałem sobie dopiero po stażu, trochę z konieczności. W trudnej rzeczywistości ekonomicznej połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku młodym medykom



Przejście
„z nauki do dydaktyki”
– wejście z poziomu
laboratoriów
bezpośrednio schodami
przez „szafę” do sali
seminaryjnej
Katedry Farmakologii
w budynku przy
ul. Grzegórzeckiej 16

nie było łatwo o pracę w Krakowie. Interesowały mnie kardiologia i choroby wewnętrzne – tu nie było jednak miejsc – chodziły natomiast słuchy, że praca na uczelni może się znaleźć w katedrach teoretycznych, ale tylko w formule studiów doktoranckich.

„Nie święci garnki lepią...”

Profesor Gryglewski nie był do końca przekonany do mojej kandydatury, w końcu zgodził się, widząc już pewnie na horyzoncie zbliżający się schyłek epoki zgłaszania się absolwentów studiów medycznych do pełnoetatowej pracy w katedrach teoretycznych, które coraz szerzej wdrażały metody biologii molekularnej lub zaawansowanej biochemii. W nich siłą rzeczy medycy nie czuli się najpewniej i zastępowali ich coraz liczniej biolodzy i chemicy.

Zgodnie z przekonaniem profesora Gryglewskiego (nabytym, jak wkrótce zdołałem się zorientować, od jego mentorów – profesora Janusza Supniewskiego, a przede wszystkim od sir Johna Vane’a), nie tylko odpowiedź na pytanie jak, ale także dlaczego lek działa tkwiła w eksperymentach *in vivo* (jego słynne „*in vivo veritas*!”). W Katedrze Farmakologii Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum w latach dziewięćdziesiątych XX wieku królowały więc eksperymenty *in vivo* lub *ex vivo* z użyciem izolowanych narządów (organ-bath krążki aorty, miografy małych naczyń izolowanych z krezki szczura lub świnki morskiej, izolowane serca świnek morskich czy izolowane płuca szczurów). To z nich pochodził materiał do rozbudowywanych oznaczeń biochemicznych i dopiero startujących w Katedrze metod *in vitro* (hodowle komórkowe, głównie komórek śródbłonna naczyniowego) i technik molekularnych. Trzeba przyznać, że Profesor do tych ostatnich dość długo się przekonywał i chyba nigdy do końca im nie zaufał. Konsekwentnie wpajał nam, że najważniejszy jest całościowy obraz, a szczegóły molekularne muszą stanowić elementy większej układanki.

Jako medyk bez jakiegokolwiek przygotowania laboratoryjnego ciężko zmagalem się poszczególnymi metodami, wieszając na aparacie Langendorfa izolowane serca świnek morskich, ucząc się od podstaw prostych oznaczeń biochemicznych i elementów technik

molekularnych. Wszystkie próby przekonania Profesora, że opanowanie tych technik może okazać się zbyt trudne spełzały na niczym – „nie święci garnki lepią – mawiał Profesor – liczy się drive do eksperymentów, a wtedy wszystko się musi udać”.

Konsekwentnie Profesor z łagodnością traktował eksperymentalne porażki w laboratorium, ale nie tolerował tego, że ktoś zbyt szybko się poddawał. Każde z nas – czworga świeżo zrekrutowanych wtedy do pracy medyków – na własnej skórze przechodziło popołudniową, a nierzadko przeciągającą się do późnych godzin nocnych walkę z niewychodzącymi oznaczeniami czy nietypowo zachowującymi się układami eksperymentalnymi. Pamiętam, jak w czasie jednej z prób opracowywania metody syntezy nadtlenoazotynu – uszkadzającego naczynia wolnego rodnika, który miał być później podawany do naczyń izolowanego serca – „udało mi się” uwolnić niewielki obłoczek chloru poza dygestorium. Musiałem czym prędzej poprosić koleżanki i kolegów z laboratorium o ewakuację na czas wietrzenia. Pech chciał, że pracownia, w której do tego doszło była zlokalizowana tuż obok gabinetu Profesora, który poproszony o jego chwilowe opuszczenie skarcił mnie za brak zachowania reguł bezpieczeństwa, ale się przy tym lekko uśmiechnął. Potem dowiedziałem się, że jednym z pierwszych jego zadań w Katedrze prowadzonej przez profesora Supniewskiego była synteza pochodnych sulfonylomocznika z fosgenu (!)...

Od zapalenia do śródbłónka naczyniowego

Tematy, jakimi w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku zajmowaliśmy się w Katedrze wciąż jeszcze nawiązywały do wcześniejszych, kluczowych odkryć profesora Gryglewskiego w zakresie działania lipidowych mediatorów biorących udział w rozwoju stanu zapalnego – prostaglandyn, prostacykliny i leukotrienów. Z biegiem czasu jednak coraz częściej dotyczyły roli tych mediatorów w fizjopatologii układu krążenia. Wśród „ulubionych” cząsteczek Profesora prym wiódł wtedy także tlenek azotu, którego działania w różnych łóżyskach naczyniowych badaliśmy w modelach wstrząsu septycznego czy niedokrwienia mięśnia sercowego.



Mgr Zyta Duran-Cetera

Profesor Ryszard Gryglewski i sir John Vane na ulicy Jagiellońskiej w Krakowie podczas Sympozjum JMRC poświęconemu aspirynie (2003)

Stopniowo pod koniec lat dziewięćdziesiątych uwaga profesora Gryglewskiego skupiła się na śródbłonku naczyńowym – najważniejszym dyrygencie w orkiestrze mediatorów regulujących funkcje układu krążenia i strażniku zdrowia ściany tętnic oraz mikrokrążenia. W wielu modelach badaliśmy sprzężone uwalnianie z komórek śródbłonka „świętej trójcy” mediatorów: tlenku azotu, prostacykliny i tkankowego aktywatora plazminogenu. Wiedziony swoją niespotykaną intuicją naukową Profesor, równoległe z badaczami z czołowych światowych ośrodków zajmujących się patogenezą schorzeń sercowo-naczyniowych, sformułował wtedy „endoteliocentryczną” hipotezę początku przewlekłych schorzeń układu krążenia i dobroczynnego działania preparatów takich, jak inhibitory konwertazy angiotensyny, leki przeciwplatekcyjne (aspiryna, tienopirydyny) czy beta-adrenolityki. Idee te znakomicie wpisywały się w nurt nauki światowej, która „zaglądała” do naszej Katedry co roku w okolicach maja.

Kontakt z nauką światową

W maju odbywały się bowiem coroczne międzynarodowe sympozja Jagiellonian Medical Research Centre – powstałej w 1992 roku fundacji, której Profesor był współzałożycielem, i która udanie przez ponad 25 lat łączyła szczególnie krakowskie życie naukowe z zagranicą. Sympozja stanowiły prawdziwe święto nauki – częstymi gośćmi byli laureaci Nagrody Nobla: Robert Furchgott, Ferid Murad, Louis Ignarro, sir John Vane, który przyjeżdżał regularnie, i inni zagraniczni oraz polscy wybitni uczeni wiodący prym w obszarze badań związanym z „cardiovascular medicine”. Co imponujące – wielu z nich było przyjaciółmi lub bliskimi znajomymi Profesora. Po zakończeniu sympozjum częste były wizyty gości w Katedrze. Z czasem trwalsze współprace skutkowały wyjazdami pracowników Katedry do „zaprzyjaźnionych” ośrodków. W moim przypadku był to sfinansowany przez Fundację na Rzecz Nauki Polskiej wyjazd na staż naukowy do New York Medical College. Nazwisko Profesora otwierało każde naukowe drzwi na świecie.

Na koniec

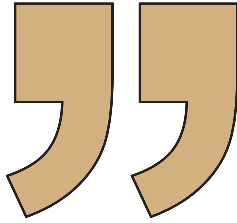
Nie wiem, co w pierwszej kolejności podsuwa pamięć, kiedy wspominam Profesora... Myślę, że są to:

- Niespotykana intuicja naukowa (umiejętność wysupłania z masy danych tych, które niosą w sobie ważną informację).
- Imponująca pracowitość i drive do eksperymentowania (Profesor często przestrzegał młodych adeptów nauki, aby zbyt dużo nie czytali, a przede wszystkim eksperymentowali!),
- Budząca podziw zdolność do skracania przekazu w duchu żelaznej logiki (z reguły frustrująca nas – popadających w emfazę i wodolejstwo początkujących autorów publikacji),
- A może jednak ten łobuzerski błysk w oku, kiedy znienacka zaczepiał nas pytaniem z historii malarstwa czy bibliistyki (!) (ja z racji imienia dostałem pytanie o historię opisaną w Księdze Tobiasza).

Jedno czuję zawsze – jestem dumny, że mogłem zaliczać się do grona Jego wychowanków.

Prof. dr hab. Rafał Olszanecki

Katedra Farmakologii Wydziału Lekarskiego
Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum



Konsekwentnie Profesor z łagodnością traktował eksperymentalne porażki w laboratorium, ale nie tolerował tego, że ktoś zbyt szybko się poddawał. Każde z nas – czworga świeżo zrekrutowanych wtedy do pracy medyków – na własnej skórze przechodziło popołudniową, a nierzadko przeciągającą się do późnych godzin nocnych walkę z niewychodzącymi oznaczeniami czy nietypowo zachowującymi się układami eksperymentalnymi.

Wspomnienie o Tacie

Pokój Taty wydawał mi się ogromny, choć z dzisiejszej perspektywy patrząc z pewnością takim nie był. W pamięci pozostał mi obraz dębowego biurka, maszyny do pisania, stosów papierów i leżących w nieładzie fajek. Zapach tytoniu, błękitny dym i lekko pochylona sylwetka Taty górująca nad tym wszystkim, jakby nieobecnego, pochłoniętego bez reszty pracą. Na mój widok, chłopca lat może sześciu, Tata uśmiechnął się i wyciągnął ręce. Po chwili siedziałem u niego na kolanach, a on widząc moją ciekawość na widok dziwnych, skreślonych ołówkiem i czerwoną kredką rysunków, zaczął wyjaśniać, czym one są. Wówczas po raz pierwszy w życiu zobaczyłem świat wzorów chemicznych. Zatarło się w mojej pamięci, o czym konkretnie była mowa. Nie to jednak jest tutaj ważne. Ważne jest wrażenie, jakie to na mnie wywarło. Opowieść Taty była barwna, potoczysta, pełna prostych i jasnych dla małego dziecka porównań, prawie pozbawiona naukowych terminów. To była po prostu bajka, bajka z niewypowiedzianym wprost morałem. Dotarło do mnie, że świat jest czymś bardzo złożonym i pozostającym w ciągłej gonitwie przemian, co dla dorosłych nie jest niczym odkrywczym, lecz dla mnie miało wówczas walor wręcz kopernikańskiego przewrotu, choć rzecz jasna teoria heliocentryczna była z pewnością poza moim zasięgiem pojmowania. W każdym razie rozpierała mnie duma, a może nawet pycha, że oto poznałem rzecz tajemną, nieznaną moim rówieśnikom. Poznałem ją dzięki Tacie.

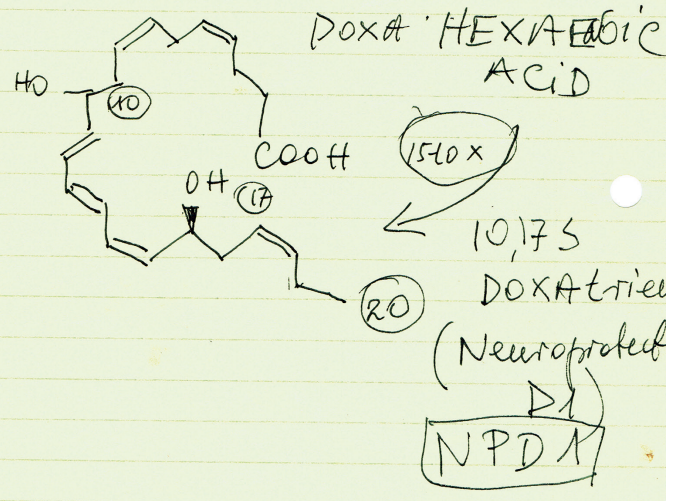
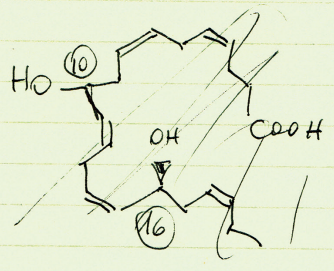
Wilno

Tata urodził się 4 sierpnia 1932 roku w Wilnie. Z miejscem swojego urodzenia pozostał silnie związany, choć spędził tam niepełne siedem lat życia. Poblakłe zdjęcie wykonane wiosną 1936 roku przed drzwiami domu w Zaułku Montwiłłowskim to najstarszy z zachowanych w rodzinnych pamiątkach obraz mojego Taty. Pośrodku stoją Wiktor i Halina, jego rodzice. Dzień był słoneczny, choć sądząc po ubraniach chyba nie najcieplejszy. Po prawej stronie, nieco w cieniu rzucanym przez duży krzew lub drzewo, widać uśmiechniętego, jasnowłosego

(20c) Nicolas Bazan
 Doxahexaenoic acid
 Neuroprotectin D1
 neuronal cell survival is AD

Deficiency of
 lutein
 [ω-3FA]
 is associated
 with
 cognitive
 decline

PLA₂ in 15-LO due enzyme
 Neuroprotectin D1 a product
 of 15LO is 10,17S doxatriene



Tata z rodzicami
Wiktorem i Halią
(Zaulek Montwiłłowski,
Wilno 1936)



chłopca. Gdy pytałem Tatę, kto tę fotografię wykonał, odpowiedział, że nie pamięta, ale wie, że był to dzień jego imienin – 3 kwietnia.

Wilno było dla niego miejscem na swój sposób magicznym. Dom pełen książek, które w czas niepogody, jak wspominał, przeglądał godzinami. Wiktor Gryglewski, który studiował filologię klasyczną, miał bogaty zbiór dzieł historycznych, szczególnie zaś tych odnoszących się do dziejów antyku, a spora część z nich była wspaniale ilustrowana. To chyba wtenczas Tata przeżył pierwszą i nigdy już nie wygasłą fascynację starożytnością. Wracał pamięcią do spacerów z rodzicami nad Wilejką, wycieczki na Wzgórze Giedymina i na Uniwersytet Wileński, meandrowanie po uliczkach miasta i Ostrą Bramę. Wiele lat później z moją Mamą Teresą pojechali specjalnie do Wilna. Jedną z pamiątek z tej podróży jest niewielka wydana przed wojną kartka pocztowa, kupiona w jednym z tamtejszych antykwariatów. Widać na niej kościół św. Rafała. Tam w księgach parafialnych odnalazł wpis o swoim chrzcie świętym.

Warszawa

Nie wiem, kiedy Tata wraz z mamą Halą znalazł się w Warszawie. Musiało to być stosunkowo niedługo przed wybuchem wojny, ale kiedy dokładnie, trudno mi to określić. Wówczas nie mógł nawet przypuszczać, że jest to zarazem pożegnanie z rodzinnym miastem. Wyjazd do stolicy nie był przypadkowy. Tam mieszkała jego babcia Sabina z Berdowskich, osoba niezwykła, o której Tata niejednokrotnie mi opowiadał. Zawsze żałowałem, że nie danym mi było ją poznać. Zmarła, gdy miałem kilkanaście miesięcy.

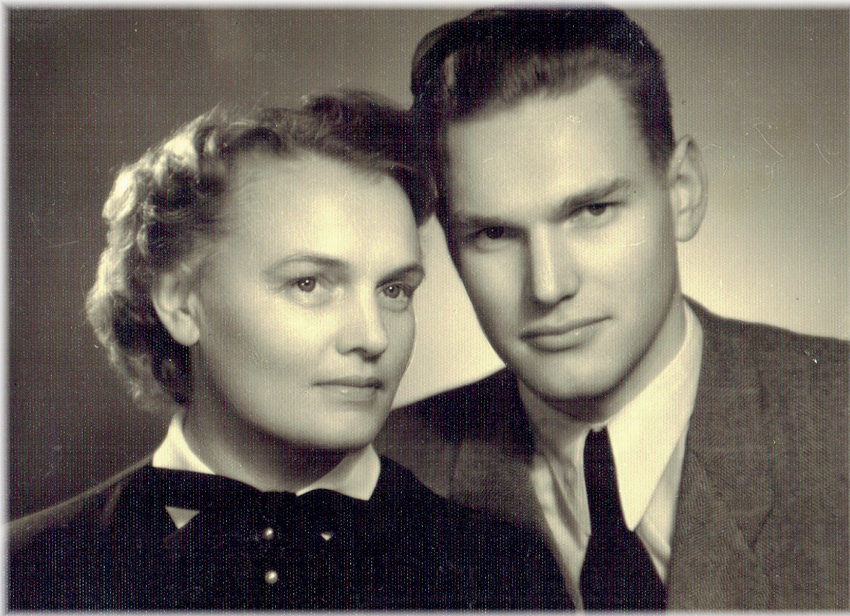
Babcia Sabina miała zdaniem Taty nieograniczoną wyobraźnię, gdy na poczekaniu wymyślała bajki, których mały chłopiec żarliwie słuchał. Imponowała mu recytując z pamięci wiersze Puszkina. Mówiła biegle po rosyjsku i francusku, chętnie sięgając po pióro, by fioletowym atramentem czynić jakieś zapiski, których jednak nikomu nigdy nie pokazywała. To była jej tajemnica. Jak wspominał Tata była to delikatna, wręcz krucha kobieta o silnej

osobowości i nieprzeciętnym intelekcie. Kiedyś powiedział, że im bardziej sięga w przeszłość, tym bardziej nabiera przekonania, iż miała ona przemożny wpływ na jego wychowanie, rozniecając w nim ciekawość świata i kształtując charakter. Mojej córce nadaliśmy po babci imię Sabina.

Z końcem sierpnia 1939 roku Tata miał wraz z Mamą Haliną wracać do Wilna, jednak nie zdążyli na czas kupić biletów na pociąg. Potem już było za późno. Wojnę i niemiecką okupację Tata spędził w Warszawie. Tu też przeszedł przez gehennę powstania. Ich mieszkanie doszczętnie spłonęło, stracili cały dobytek. Ocalał tylko pokryty sadzą talerz, który do dziś mamy w naszym domu. Tata niechętnie wracał pamięcią do tamtych dni, a ja nigdy nie nalegałem, by poznać do końca tę historię. Przetrwali dzięki determinacji i hartowi ducha Mamy Hali, energicznej i nie wahającej się podejmować ryzyko kobiecie. To ich uratowało. To i zwykły łut szczęścia.

Kraków

Kiedy tylko stało się to możliwe, zapadła decyzja o wyjeździe do Krakowa. O powrocie do Wilna, które zajęła armia radziecka, nie mogło być mowy. W Krakowie mieszkał brat Wiktora, u którego teraz szukali pomocy. Przyjechali w zimie 1945 roku, z jednym plecakiem i płócienną torbą. Sabina przeniosła się do Łodzi, gdzie po paru miesiącach pojawiła się siostra Hali, Regina, która wojnę spędziła w Wilnie. To właśnie od niej dowiedzieli się, że Wiktor, o którego losach mimo starań niczego dowiedzieć się nie mogli, został aresztowany przez NKWD. Ślad po nim zaginął. W wiele lat później Hala otrzymała niepodpisany list. Jego nadawca, spełniając wolę Wiktora, opisał ich więzienne życie w obozie koło Saratowa. Przyrzekli sobie, że ten, który przeżyje i wróci do kraju zawiadomi bliskich o śmierci drugiego. Wiktor zachorował na tyfus. Zmarł w 1946 roku. Wiem, że Tata nigdy się z tym nie pogodził. Nieliczne zdjęcia swojego ojca, które ocalały z wojennej pożogi przechowywał w rodzinnym albumie. Bywało, że siadaliśmy u niego w pokoju i oglądaliśmy poźółkę



Tata ze swoją Mamą
Halina (rok 1953)



Halina, Sabina,
Tata i Regina
– siostra Haliny
(ok. 1960 roku)



Wiktor Gryglewski (Wilno ok. 1937 roku)

fotografie. Opowiadał o Wilnie, o różnych drobnych, często banalnych zdarzeniach z rodzinnego życia, okruchach pozostałych w pamięci dziecka o ojcu Wiktorze.

Mama Teresa

Wspominając mojego Tatę zawsze widzę przy nim moją Mamę Teresę. Była z nim i dla niego, zarówno w zwykłych bieżących sprawach domowych, jak i tych fundamentalnych. Dzielił też zainteresowanie nauką. Moja Mama, z wykształcenia chemik, całe lata pracowała w laboratoriach, prowadząc badania pod kierunkiem profesora Janusza Supniewskiego, mistrza mojego Taty. Rodzice poznali się w Zakładzie Farmakologii, co, jak potem ze śmiechem wspominali, było może mało romantycznym miejscem, za to niezwykłym, swoistą wyspą wolności w ówczesnej, siermiężnej i nieprzyjaznej człowiekowi rzeczywistości komunistycznej Polski. Tata kiedyś powiedział, że możliwość pracy u profesora Supniewskiego była losem wygranym na loterii. Nigdy o tym nie zapomniał. W stulecie urodzin profesora, wraz ze współpracownikami, napisał i wydał książkę jemu poświęconą.

Rodzice nie lubili się rozstawać, stąd najczęściej podróżowali razem. Nie miało przy tym znaczenia, czy był to krótki wyjazd na któryś z licznych kongresów w kraju lub za granicą, czy były to wakacje, czy po prostu tak zwany wypad za miasto. Kiedy w 1976 roku otworzyła się możliwość prawie rocznego pobytu w laboratoriach Wellcome w Anglii, rodzice pojechali tam razem pracować. Niebawem i ja do nich dołączyłem. Nie mogło być inaczej.

Mama, co teraz po latach widzę wyraźnie, potrafiła dla mnie i Taty stworzyć dom gdziekolwiek by on nie był, a robiła to w naturalny, niewymuszony sposób.

Nauka

Kiedyś zapytałem Tatę, czym dla niego jest nauka. Spojrzał na mnie uważnie i powiedział – „przygodą”, a widząc moje zaciekawienie i lekkie zaskoczenie wyjaśnił, że to jak podróż

z niekompletną mapą, która nagle się urywa i dalej zaczyna się nieznanie. Nie wiesz, co cię tam czeka, lecz śmiało ruszasz przed siebie, pokładając ufność w tym, co już wiesz i przeczuwając to, co możesz poznać, niekiedy błędząc, czasami odnajdując właściwy szlak. Jeśli lubi się taką „zabawę” (tak to dokładnie określił), to wówczas czerpie się z tego czystą radość. Cała reszta to dodatki.

Ten świat potrafił go pochłonąć, wydawało się bez reszty, kiedy godzinami analizował wyniki badań, kreślił plany eksperymentów, pracował w laboratorium i prowadził ożywione rozmowy z innymi badaczami. Wydawać by się mogło, że jest to hermetyczna, niedostępna kilkunastoletniemu chłopcu przestrzeń zarezerwowana wyłącznie dla dorosłych. Tak jednak nie było. Przy stole: czy to u nas w domu, czy gdy bywaliśmy w gościach było dla mnie miejsce. A mówiono nie tylko o nauce. To mnie w znacznym stopniu uformowało.

Pamiętam te dni, kiedy współpracując z Johnem Vane’em i Stuartem Buntingiem odkrywał tajemnicę prostacykliny. Myślę, że był to dla niego czas szczególnie ważny i nade wszystko szczęśliwy. Wykreślił nową drogę na mapie.

Pożegnanie dzieciństwa

Jazda samochodem przez Europę i dzisiaj brzmi ciekawie. Rodzice, gdy była tylko taka możliwość, przedkładali autostradę nad lot samolotem. Do dziś zachowały się dziesiątki map i zaplanowanych wcześniej tras. Jedna z takich wypraw szczególnie zapadła mi w pamięć, gdy pojechaliśmy z Krakowa do sycylijskiego Erice, gdzie odbywała się konferencja z udziałem mojego Taty. Pojechaliśmy w trójkę, niespiesznie meandrując po drogach Austrii, Szwajcarii i Włoch. Dzieliliśmy się wrażeniami, rozmawialiśmy o historii i sztuce, próbowaliśmy smaków różnych potraw. Śladu pośpiechu, łagodne bytowanie. Na swój sposób było to moje pożegnanie z dzieciństwem. Dopiero co zdałem maturę i dostałem się na studia. Wybrałem



Tata i John Vane



Tata na balkonie naszego domu przy Kasztelańskiej

historię. I chociaż nigdy nie zostało to wprost powiedziane, Tata chciał w ten sposób uczcić tę chwilę. Dzisiaj jestem tego pewien.

Dlaczego nie zostałeś lekarzem?

To pytanie zadawano mi często, tak mi się przynajmniej wydaje. Zresztą sam je sobie kiedyś zadawałem. Jeszcze w liceum byłem niemal pewien, że wybiorę medycynę. W końcu większość znajomych i przyjaciół moich rodziców była lekarzami lub przyrodnikami. Młodsza siostra mojej Mamy, Krystyna, była laryngologiem. Sprawa wydawała się wprost przesądzona. A jednak nie. Rzecz znamienna – tego pytania nigdy nie zadał mi Tata. Nie sądzę też, by kiedykolwiek tego oczekiwał. Może po prostu wiedział, że to nie dla mnie. Zawsze pozostawiał mi dużo swobody w dokonywaniu wyborów, bardziej obserwując, czasami lekko zachęcając do czegoś lub pytając o powód takiej czy innej decyzji. Oboje z Mamą pewnie nieraz pochylali się z troską nad moimi różnymi pomysłami, które mówiąc oględnie, nie zawsze były trafione. Nigdy jednak nie wywierali na mnie presji. Później, kiedy już nieco okrzeplęm, Tata wyciągnął zielonkawą, mocno sfatygowaną książeczkę lotów szybowcowych. Wówczas dowiedziałem się, że chciał kiedyś zostać pilotem. Śmiał się, gdy mówił, że trudno przewidzieć, jakby to się wszystko potoczyło, gdyby nie wykryta wada wzroku. Droga lotnika była dla niego zamknięta. Podobnie nie udało mu się zostać marynarzem, choć był taki moment, że był zdecydowany zdawać do Szkoły Morskiej. Gdzieś po drodze były jeszcze plany związane z leśnictwem. Kończąc swoją opowieść powiedział, co bardzo dobrze zapamiętałem: „Czasem dobrze się z samym sobą trochę poszarpać”.

Poezja

Nie pamiętam, by Tata czytał mi kiedykolwiek bajki. Robiły to Mama i Babcia Halina. Natomiast Tata czytał mi na dobranoc wiersze. Miał swoich ulubionych poetów, do których często powracał. Potrafił przywołać całe fragmenty z twórczości Słowackiego, Norwida i Herberta.

Małemu chłopcu zaś serwował Gałczyńskiego, Juliana Tuwima, a także Tadeusza Boya Żeleńskiego, co mnie, nietrudno zgadnąć, bardzo się podobało. Kiedy wyrosłem z bajek na dobranoc, choć daleko mi jeszcze było do dorosłości, sam zagłębiałem się w lekturę „Słówek” Boya, a utrwaliwszy sobie „co lepsze kawałki” z dziecięcym żarem recytowałem je Tacie, który śmiał się wówczas serdecznie. Mama Teresa i Babcia Hala były jakby mniej zachwycone treścią moich oratorskich popisów, lecz my z Tatą mieliśmy świetną zabawę. Myślę, że te domowe spotkania z poezją dały mi znacznie więcej niż szkolne lekcje języka polskiego.

Muzyka

Beethoven, Bach i Chopin – w takiej chyba kolejności ułożyłbym listę ulubionych kompozytorów Taty. Winyłowe płyty i czeski gramofon – masywny, z jasnobieżowymi kolumnami stały niedaleko biurka. Muzyka często towarzyszyła Tacie, gdy nad czymś intensywnie pracował, ale była też obecna bez żadnego szczególnego powodu. Kiedy pojawiły się odtwarzacze kaset magnetofonowych dostosowane do zamontowania w samochodzie, dźwięki symfonii i koncertów rozbrzmiewały podczas podróży. A oprócz klasyków słuchaliśmy mistrzów słowa w nagraniach „Kabaretu Starszych Panów”, piosenek Bułata Okudźawy i Ewy Demarczyk. Lubilem te wspólnie spędzane chwile, kiedy nigdzie się nie spiesząc i nie mając żadnych palących obowiązków „próbowaliśmy” kolejnych utworów, komentując znane już niemal na pamięć kompozycje. Nie zdarzało się to zbyt często, ale może właśnie dlatego tak mocno wryły mi się w pamięć. Winyłowe krążki gdzieś przepadły. Nie ma też śladu po gramofonie. Pozostał miły ślad wspomnień.

Portret Taty

Nad biurkiem, przy którym ja dzisiaj pracuję, zawieszony jest portret. Utrzymany w zimnych barwach brązów i zieleni przykuwa uwagę patrzącego jakąś nieuchwytną, lecz wyczuwalną



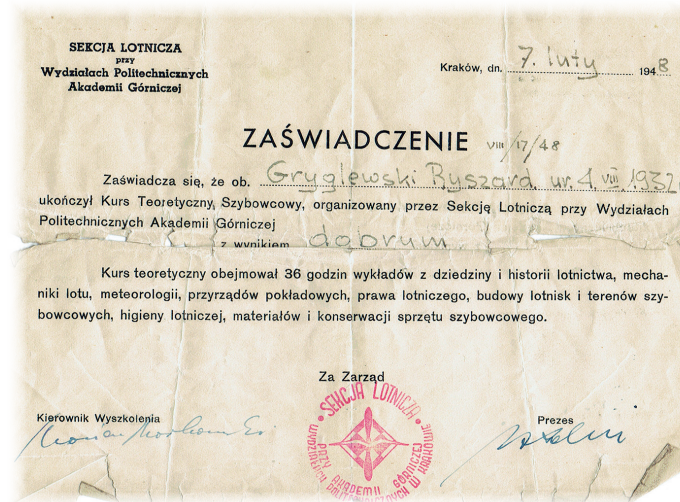
Zdjęcie moich rodziców wykonane podczas podróży

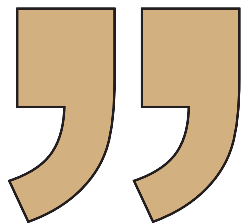
twardością. Najwyraźniej artysta tak właśnie widział wówczas Tatę. I z pewnością taki Tata był, gdy przychodziło do spraw istotnych, kiedy wyraźnie i bez niedomówień wyrażał swoje zdanie. Pamiętam czas stanu wojennego, w którym przyszło mu pełnić godność rektorską z tym dojmującym uczuciem przygnębienia w otaczającej nas szarości. Portret został namalowany parę lat później, ale piętno tamtych wydarzeń najwyraźniej pozostało.

Ja jednak spoglądam na małą fotografię wykonaną latem, w słoneczny dzień gdzieś podczas przerwy w podróży. Tata i Mama stoją uśmiechnięci na tle schodzących ku morzu gór. Są szczęśliwi. Nie wiem, kiedy i gdzie zostało zrobione to zdjęcie. Nie ma to jednak znaczenia.

Prof. Ryszard Witold Gryglewski
syn Ryszarda Jerzego Gryglewskiego

Zaświadczenie
ukończenia przez
Tatę kursu
szybowcowego





Pamiętam te dni, kiedy współpracując ze Johnem Vane'ém i Stuartem Buntingiem odkrywał tajemnicę prostacykliny. Myślę, że był to dla niego czas szczególnie ważny i nade wszystko szczęśliwy. Wykreślił nową drogę na mapie.

Indeks nazwisk

A

Angielski Stefan 28

B

Bach Johann Sebastian 108

Beethoven Ludwig van 108

Bergström Sune 72

Blake William 42

Bunting Stuart 104

C

Cedro-Ceremużyńska Krystyna

p. Herbaczyńska-Cedro Krystyna 28

Cechlińska Maria 9, 82

Chłap Zbigniew 60

Chłopicki Stefan 8, 38, 44, 46, 79, 82

Chopin Fryderyk 108

Chruściel Tadeusz 28

Chruściel Maria 28

D

Danysz Andrzej 28

Demarczyk Ewa 108

Dłużniewski Apoloniusz 22

Dyrek Barbara p. Przewłocka Barbara 22

F

Flower Rod J. 38

Furchgott Robert 91

G

Gałczyński Konstanty Ildefons 107

Gryglewska Halina 96, 98, 100, 101, 107

Gryglewska Teresa 13, 14, 22, 72, 77, 99, 103,
107, 109, 110

Gryglewski Ryszard Jerzy 7, 8, 9, 12–15,
17, 20, 21, 24–32, 36–46, 47, 50–52, 54,
55, 57–60, 64–73, 76, 78–82, 86, 88, 90,
92, 96, 99, 100, 101, 103, 105, 106, 107,
109, 110

Gryglewski Ryszard jr p. Gryglewski Ryszard
Witold 22

Gryglewski Ryszard Witold p. Gryglewski
Ryszard jr 110

Gryglewski Wiktor 96, 98, 100, 102

H

Hano Józef 22

Herbaczyńska-Cedro Krystyna

p. Cedro-Ceremużyńska Krystyna 28

Herbert Zbigniew 107

I

Ingnarro Louis 91

K

Koj Aleksander 73, 80
Konturek Stanisław 28
Korbut Ryszard 7, 28, 33
Kostka-Trąbka Elżbieta 30
Krawczyk Marek 9
Krupińska Joanna 22
Krystyna, siostra Teresy Gryglewskiej 107

L

Lonigro Andrew J. 12

M

Maj Jerzy 74
Martin John 17
Mazowiecki Tadeusz 60
McGiff Jack 81
Michalska Joanna 22
Misztal Stanisław 22
Mruk Józef 56, 57
Murad Ferid 91
Musiał Jacek 56, 57

N

Niżankowski Rafał 60
Norwid Cyprian Kamil 107

O

Okudźawa Bułat 108
Olszanecki Rafał 8, 38, 68, 82, 92

P

Penderecki Krzysztof 76
Piętoń Ryszard 56, 57
Przewłocka Barbara p. Dyrek Barbara 22

R

Regina, siostra Haliny Gryglewskiej 100, 101

S

Sabina z Berdowskich 99, 100
Samuesson Bengt 72
Słowacki Juliusz 107
Spławiński Jacek 22
Sprague Randy 15
Supniewski Janusz Wiktor 20, 22, 45, 50, 54,
103
Szczeklik Andrzej 14, 17, 27, 28, 50-52, 54-57,
60, 72, 74, 78, 80, 81

T

Tuwim Julian 107

V

Vane Daphne 82
Vane John Robert sir 7, 12, 17, 24-29, 43, 45,
51, 52, 54, 72, 76, 79, 81, 82, 90, 91, 104, 105
Vetulani Jerzy 22, 28

W

Waltoś Stanisław 80

Ż

Żeleński Boy Tadeusz 107



ISBN: 978-83-68418-22-4